

„Gdzie Lilith mówi dobranoc” – Przenieś się do świata, w którym diabeł mówi dobranoc szepecząc Ci do ucha mroczne bajki inspirowane tematyką magii, wampiryzmu, mistycyzmu oraz opowiadając o światach pozbawionych wszelkich zasad i reguł. To cykl opowiadań będący kontynuacją zbioru opublikowanego w 2011r na portalu Mrooczlandia. Opowiadania stanowią fikcję literacką napisaną w klimacie fantastyki inspirowanej tym, co nie mieszczące się w granicach rozsądku. Podobnie jak pierwsza publikacja, stanowią posmak ludzkich żądz, zwierzęcych pragnień oraz ukazują skryte oblicze człowieczeństwa. Mrok wszak jest w każdym z nas. Uważaj by go nie zbudzić...



Paulina Matysiak – Z zawodu dziennikarka związana w przeszłości z takimi tytułami jak Tygodnik Radomski, Gazeta Radomska, tygodnikradomski.pl, radom24.pl

Autorka: Mroczne Bajki dla Dorosłych (Radom 2011)

Współautorka: Nowa Teoria Literatury Użytkowej (Radom 2009), Na Szarym Początku (Radom 2010/2011), Aksjologie (Radom 2012) pod red. Adriana Szarego

GDZIE LILITH MÓWI DOBRANOC Paulina Matysiak

GDZIE LILITH MÓWI DOBRANOC



Paulina Matysiak

**GDZIE LILITH MÓWI
DOBRANOC**

PAULINA MATYSIAK

RADOM 2012

„Gdzie Lilith mówi dobranoc” – *Przenieś się do świata, w którym diabeł mówi dobranoc szepcząc Ci do ucha mroczne bajki inspirowane tematyką magii, wampiryzmu, mistycyzmu oraz opowiadając o światach pozbawionych wszelkich zasad i reguł. To cykl opowiadań będący kontynuacją zbioru opublikowanego w 2011r na portalu Mrooczlandia. Opowiadania stanowią fikcję literacką napisaną w klimacie fantastyki inspirowanej tym, co nie mieszczące się w granicach rozsądku. Podobnie jak pierwsza publikacja, stanowią posmak ludzkich żądz, zwierzęcych pragnień oraz ukazują skryte oblicze człowieczeństwa. Mrok wszak jest w każdym z nas. Uważaj by go nie zbudzić...*

Paulina Matysiak – *Z zawodu dziennikarka związana w przeszłości z takimi tytułami jak Tygodnik Radomski, Gazeta Radomska, tygodnikradomski.pl, radom24.pl*

Autorka: *Mroczne Bajki dla Dorosłych (Radom 2011, Mrooczlandia)*

Współautorka: *Nowa Teoria Literatury Użytkowej (Radom 2009, Arka), Na Szarym Początku (Radom 2010/2011, Arka), Aksjologie (Radom 2012, Arka) pod red. Adriana Szarego*

Spis Treści:

Serce Smoka.....str.14

Sammael.....str. 28

Wampir z mgieł.....str.37

Czerwone Szpilki.....str.65

Abaddon.....str.91

Dodatek:

Wspomnienie Umarłej (fragment powieści).....str. 102

Klątwa Salem (fragment powieści).....str. 108

Serce Smoka

Śnieg cicho skrzypiał pod butami. Księżyc uśmiechał się do niej zza chmur oświetlając zhańbioną ciemnością drogę. Pochodnia trzymana w jej delikatnej dłoni odzianej rękawiczką z jagnięcej skóry rzucała cienie na las rozświetlając mrok nocy.

Przez zasy szło się bardzo ciężko, a Telemida wędrowała bez ustanku już cały dzień. Wprawdzie pierwsze dwie doby podróżowała konno, ale zgłodniała wataha wilków pożywiła się jej rumakiem, toteż ostatni fragment swej drogi musiała pokonać pieszo.

Z dali znów usłyszała wycie i ujadanie. Wiedziała, że lada chwila dotrze do osady. Mimo to serce zaczęło bić mocniej, a strudzona i głodna wędrowniczka postanowiła przyspieszyć tempa. Trasa, która została jej do pokonania, była krótka, ale ciężka.

Wtem z gęstwin wyłoniła się para świecących w ciemnościach oczu. Zatrzymała się wpatrując w łupiące na nią ślepie. Usłyszała złowrogi warkot, a w kolejnym ciągu sekund w czarnych zaroślach przed jej prawicą pojawiły się następna para szarych łbów.

Wilki przyglądały się jej. Jeszcze nie atakowały. Zwierały szyki. Okrążyły samotną wędrowniczkę. Ich paszcze szczyrzyły się do natarcia. Płomień pochodni oświetlił białe kły i błyszczącą ślinę wydobywającą się z zajadłych mord.

- Ty jesteś ich panią. Przypomnij im o tym. – Pojawiło się nagle w jej umyśle.

Zadrzała z przerażenia. Zaledwie kilka godzin temu pozwoliła ich braciom posilić się własnym koniem. Czyż danina nie była wystarczająca, by dały jej spokój? Najwyraźniej nie. Nigdy nie wychodziło jej najlepiej przemawianie do zwierząt.

Nie lubiła wchodzić w niczyje umysły, toteż nie próbowała rozwijać swych umiejętności. Zawsze chciała być taka jak jej bracia i siostry. Teraz tego żałowała.

- Telemido, czekam na ciebie. Uspokój wilki i przybądź do mnie. – Znow pojawił się głos w jej głowie.

Wtem największy wilk ze stada opuścił szereg. Za nim do ataku powolnie ruszały kolejne stworzenia. Nie patrzył na nią jak na żadną panią, lecz zwykły kawałek mięsa.

- Stój! – Krzyknęła nerwowo ściskając pochodnię.

Wilk zawarczał nie zważając na jej słowa. Jego łapy zapadały się w puszystej warstwie śniegu, która niczym kołderka przykryła drogę między gęstwinami lasu. Wściekłe oczy płonęły niczym dwa ogniki. Zmarszczona skóra na pysku ukazała jej groźne i ostre jak brzytwy siekacze gotowe wbić się w jej skórę.

Klęknęła wpatrując mu się w oczy. Próbowała nawiązać z nim połączenie. Wniknąć do umysły bestii pragnącej posilić się jej słodką krwią.

- Stój mój leśny bracie. – Przemówiła spokojnie, ale stanowczo bez wypowiedania słów w ludzki sposób.

Wilk postawił uszy na sztorc bacznie jej się przyglądając. Nadal jednak oblizywał się na jej widok i wciąż szczyrzył kły.

- Jeśli poprowadzisz swych braci na północ, spotka was nagroda i zaspokoisz swój głód. Koń, na którym zmierzałam jest bardzo blisko stąd. Możesz teraz odejść. Jeśli spróbujesz mnie tknąć, las pomści mą śmierć, gdyż jestem dzieckiem Drzewa.

Wpatrując się w groźne ślepia i klęcząc przed swym szarym bratem, zdjęła z dłoni rękawiczkę, a następnie wystawiła ściśniętą w piąstkę rękę w stronę stworzenia o błyszczącym futrze. Wilk zaskomlał w odpowiedzi. Powoli zaczął się do niej zbliżać.

Telemida bała się, że nie odejdą, że nie uda jej się ich przekonać. Tak ciężko było wpływać jej na umysły i łamać wolę. Och, gdyby tylko nie wzbraniała się przed tym kim była. Może uszłaby teraz z życiem.

Wilk jednak nie zaatakował. Podszedł tak blisko klęczącej dziewczyny, że jego łeb znajdował się na wysokości jej twarzy. Bez problemu mógłby wbić zęby w jej nos. Jego obecność tak ją przerażała, że miała ochotę odwrócić spojrzenie, ale wiedziała, że nie może tego uczynić. Dziki zwierz rozszarpałby ją żywcem. Musi czekać.

Przewodnik wygłodniałej watahy głośno węszył. Przyłożył swój mokry nos do jej dłoni wachając skórę. Tak, o to chodziło. Gdy klęczała tak przed nim okazywała mu, iż są równi. Ale czy uda jej się go poskromić? Wilk odczytując jej przekaz polizał dłoń dziewczyny, po czym podkulił pod siebie ogon oddając jej pokłon. Odwzajemnił okazany mu szacunek odchodząc. Zaraz za nim zniknęły kolejne świecące w ciemności oczy. Dziki zew zgłodniałych bestii podążył na północ.

- Wiedziałem, że dasz radę bez mojej pomocy. Teraz chodź. – Znów usłyszała przywoływania.

Podniosła się z zaspą wkładając na zmrożoną dłoń rękawiczkę. Jej policzki były różowe od zimnego powiewu wiatru okraszonego płatkami śniegu. Poprawiła kaptur zatykając usta przed mroźnymi podmuchami i ruszyła przed siebie. W dali widziała już jasne światło.

- Oplaciło się jednak... – Pomyślała zdyszana przekraczając metalową bramę miasta, której skrzypienie obudziłoby umarłego.

Przekroczyła ją śmiało krocząc po kamiennej drodze prowadzącej na rynek. Tam pochodnie oświetlały niemal każdy zakamarek, a kamienie ułożone były w wielkie kopce przykryte strzechą. Ludzie nie potrafili budować tak wytrzymałych domów odpornych na spalenia. Ale nie wchodziła wszak do ludzkiej wioski, o czym dobrze wiedziała.

Głos, który coraz intensywniej wypełniał jej myśli nakazał skrócić w ciemną uliczkę między kamiennymi budowlami. Prowadził ją tak długo, aż dotarła do celu.

Znalazła się na progu jednego z domostw. Nie musiała pukać. On wiedział, że przyjdzie. W drzwiach pojawił się okazałej postury mężczyzna o jasnych długich włosach spływających fikuśnymi kosmykami po szerokich ramionach. Uśmiechnął się na jej widok.

- Witaj Oficerze Czarnego Słońca. – Rzeka odpowiadając uśmiechem.

Mężczyzna nie zaprosił jej od razu do środka. Przez chwilę wpatrywał się w nią z błogością malowaną na twarzy. Był zadowolony, że go odnalazła. Nie musiała oddawać mu pokłonu jak inne dziewczki o ludzkiej krwi, które gdyby zachowały się tak krnąbrnie jak ona, zostałyby wychłostane.

- Witaj mój Czarny Diamencie. – Odrzekł ze spokojem, po czym odsunął się od drzwi robiąc jej miejsce. – Wejdz. Czekałem wiele dni na twe przybycie.

- Mój panie, przyszedłam cię prosić o litość. – Odparła od progu zostawiając pochodnię na metalowych widelkach obok drzwi i lekko ocierając się o niego weszła do chaty.

W pomieszczeniu utrzymywało się przyjemne ciepło. W kominku palił się ogień, a nad nim wisiał wielki kocioł, z którego wylaniały się przepyszne zapachy. Nie jadła od dwóch zachodów słońca, toteż poczuła ucisk w żołądku.

- Nie jestem twym panem Telemido. – Stwierdził zatraskując za nią wrota. – Nie zapominaj, że jesteś jedną z nas. – Powiedział odsuwając jej kaptur z głowy i zanurzając dłoń w złotych włosach.

Telemida na chwilę zamknęła oczy delektując się jego dotykiem. Uwielbiała gdy bawił się jej włosami i delikatnie smagał policzek swą ciepłą dłonią. Miała ochotę wtulić się w niego, lecz nie po to tu przyszła.

- Nie po to tu przyszłaś? – Spytał przerywając ciszę i bacznie wpatrując się w jej zielone tęczówki.

- Możesz tego nie robić? – Spytała oburzona odsuwając się od niego i patrząc mu w oczy z wyrzutem.

- Powiedziałaś to w moim języku bardzo głośno. Wiesz przecież, że nie wchodzę w twój umysł. – Uspokoił ją, po czym ruszył w stronę pieca. – Usiądź. Jesteś głodna i zmęczona. Nakarmię cię, odpoczniesz, a później porozmawiamy.

- Zgoda. – Odparła idąc za nim do izby.

Jego złota szata przyjemnie szeleściła gdy się przemieszczał. Lubiała na niego patrzeć. Miał w sobie tyle spokoju, a jednocześnie budził respekt i szacunek. Nie przerażał jej, choć większość ludzi na jego widok, wołałaby dać się rozszarpać wilkom, niż wejść do jego chaty.

Nie rozumiała tych sztucznych podziałów. Dla niej był takim samym człowiekiem, jak mieszkańcy jej wioski. Nie bała spojrzeć mu się w oczy, choć rzeczywiście krył się w nich hipnotyczny urok. Ich orzechowa barwa była jasna jak światło słońca, które uwielbiała. Mogłaby tak wpatrywać się w niego godzinami.

- Ja też za tobą tęskniłem. – Powiedział wyjmując z drewnianego kredensu dwie miseczki, do których nalał wywaru wielką chochlą.

- Znowu to zrobiłeś. – Parsknęła z dąsem bojąc się, że czyta w jej myślach.

- Przemówiłaś do mnie? – Odwrócił się spoglądając jej w oczy.

- Myślałam właśnie, że uwielbiam na ciebie patrzeć, gdy powiedziałeś, że również za mną tęskniłeś. – Odparła nie używając słów.

- Nie. Nie odczytałem twych myśli. Po prostu stwierdziłem, że brakowało mi ciebie. – Odparł w ludzki sposób uśmiechając się do niej z pobłażliwą miną. – No zdejmuj już ten płaszcz. W izbie jest ciepło. Siadaj koło mnie. Nie gryzę. – Stwierdził ruszając w stronę łóżka okrytego niedźwiedzim futrem.

Telemida rozsuptała sznury płaszcza. Miała na sobie tkaną z lnu suknię o zielonym kolorze. Tkanina była dość cienka jak na tą porę roku, jednak ciepło ognia przyjemnie gładziło jej zmarzniętą skórę.

Ach, ogień. Jak to cudownie mieć w chacie ogień. Ludzie całe zimy marzli. Ich prymitywne ogniska nie nadawały się do utrzymania w łatwopalnych domostwach. Jedynie ich rasa potrafiła budować tak wspaniałe domy.

Czemu ludzie nie mogli się od nich uczyć, zamiast toczyć spory? Nie byli aż tak bardzo inni. Wyglądali zupełnie tak samo. W większości byli też nastawieni przyjacielsko, choć nieco nieufni. Z całą pewnością woleli jednak towarzystwo dzikich zwierząt, niż ich, ludzi.

Ale nie on. Bardzo cenił sobie jej przyjaźń. Kochał ją znacznie bardziej od swych sióstr i braci podobnych do siebie. Dla niego nie liczyło się kto należy do jakiej rasy. Wybrał ją spośród ludzi. Nie była dla niego gorsza.

Usiadła obok niego biorąc w dłonie drewnianą miseczkę. Zapachy przyjemnie drażniły jej nozdrza. Strawa była gorąca, a Telemida strasznie głodna, toteż nie mogła już się doczekać, aż skosztuje mieszaniny ziół.

- Nie oparz się. – Przemówił łagodnie po czym odstawił miskę na komodę wyjmując z wnętrza kufra skórzane zawiniątko. – Weź. – Podał jej biorąc od niej miskę.

Telemida położyła tobolek obok siebie na łóżku rozwijając skórzane rogi. W środku znajdował się bochen chleba. Urwała pokąsną pajdę rozkoszując się przepyszny smakiem wypieku. Kolejny odłamany kawał podała mężczyźnie.

- Zjedz wszystko. – Odparł przyglądając się radośnie jak Telemida napelnia usta.

Chyba jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy ze spotkania z nią. Nie widzieli się tyle czasu. Zbyt wiele czasu. Gdyby nie te głupie podziały, które narzuciła jej rasa, nie musieliby żyć osobno. Telemida nie marzyłaby zimą tylko siedziała u jego boku w ciepłej, kamiennej chacie. Jej życie byłoby znacznie łatwiejsze. Wszystko mogło być inaczej. Ale nie było.

Po jedzeniu otarła usta skrawkiem rękawa sukni. Wyglądała tak słodko, a zarazem krnąbrnie przyjmując zwyczaje i żyjąc wśród dzikusów. Nie miała oglądy należnej jego rasie. Mimo to była jedną z nich.

- Zostaniesz tu ze mną, prawda? – Spytał odstawiając miski.

Nie odpowiedziała bacznie mu się przyglądając. Usiadł obok chwytając w ręce jej dłonie. Powtórzył pytanie nie używając słów jak prymitywne zwierzęta, z którymi wiodła służalcze życie.

- Chciałabym. – Odparła smutno.

- Więc czemu nie zostaniesz?

- A wioska? – Spytała patrząc na niego błagalnie. - Ludzie umierają. Jest nas coraz mniej. Zepchnęliście nas na jałowe tereny. U nas panuje głód.

- Jesteś tu z własnej woli, czy przysyłają cię starsi?

- Sama postanowiłam przyjść, by prosić cię o pomoc.

- Więc nie mogę pomóc. – Odparł gorzko. – Ludzie nigdy się nie nauczą nas szanować.

- Ludzi niedługo już nie będzie. Nasze plemiona są coraz mniejsze.

- Mogliście pomyśleć o tym wcześniej, zanim postanowiliście toczyć z nami walkę.

- Spróbuj zrozumieć. Mój lud nie potrafi czytać w myślach, jak wy. Oni się was boją.
- Nic złego im nie robiliśmy, póki nie zaczęli ciąć nas w pień.
- Daj nam szansę.
- Nam? Przecież ty nie jesteś jedną z nich. Potrafisz porozumiewać się naszym językiem. Nabrałaś ich zwyczajów wychowując się w ich prymitywnej wiosce, ale jesteś taka jak my. Nie musisz towarzyszyć im w ich końcu.
- Dlaczego musi tak być? Dlaczego nikt nie może ustąpić?! – Powiedziała w myślach, gdyż gardło zapełniło się łzami, które ciekły po jej policzkach.
- Nie płacz skarbie. – Powiedział ocierając jej twarz. – To nie twoja wina. Oni sami zarzucili sobie pętle na szyje.
- Proszę cię, pomóż nam. – Wyszeptała drżącym głosem. – Błagam! – Krzyknęła padając przed nim na kolana. – Skończ tą wojnę. Tylko ty możesz to zakończyć.
- Wstań. – Poprosił zawstydzony łapiąc ją za dłonie i przyciągając ku sobie. – Nigdy więcej tego nie rób.
- Czyż nie tego chcecie? – Odparła wciąż łkając. – Nie chcecie by ludzie składali wam pokłony? Wszak jesteśmy tylko rasą niewolniczą. Zwykłą zwierzyną. Brzydziecie się nami. Czyż nie tak jest?
- Ty nie jesteś taka jak oni.– Powiedział mocno tuląc do siebie. – Tak mi przykro, że cierpisz. – Dodał w myślach. – Tak bardzo chciałbym, byś umiała być szczęśliwa.

- W moich żyłach płynie ludzka krew.
- Jesteś jedną z nas. – Powtórzył. - Potrafisz rozmawiać ze zwierzętami. Nie potrzebowałaś mej pomocy, by odgonić głodne wilki. Umiesz żyć w zgodzie z naturą. Jesteś jej częścią. Ludzie niszczą naturę. Zamiast poprosić wilka o odejście, zbryzgaliby las jego ciepłą krwią. Mordują dla zabawy. My zabijamy, gdy jesteśmy głodni.
- Nie jestem taka jak ty. Jestem jedynie namiastką tego, co sobą reprezentujecie. Jestem zwykłą hybrydą.
- To nie ma nic do rzeczy. Kiedyś nasze rasy żyły w zgodzie i harmonii, a ty jesteś owocem tej zgody. Nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, że nie płynie w tobie czysta krew. Dobrze o tym wiesz. Powiedziałaś do wilka, że jesteś dzieckiem Drzewa.
- Powiedziałam. – Odparła sucho. – Powiedziałam. – Stwierdziła opuszczając smutno głowę.
- Musisz się wreszcie określić kochana. Nie możesz żyć wśród nas i wśród ludzi. Musisz wybrać. Zginiesz z nimi lub będziesz żyła ze mną.
- Nie mogę wybierać. Nie każ mi tego robić. Dobrze wiesz, że jestem jedną z nich, ale ciebie też kocham.
- Przestań się już zadręczać i przytul się do mnie. Tak dawno nie tuliłem cię w swych ramionach. – Powiedział łagodnie znów ją przytulając i bawiąc się złotym kosmykiem spływającym jej na twarz.
- Jeśli każesz mi wybierać, zostanę z nimi. – Odparła wpatrując mu się w oczy.

Nie płakała. Otarła łzy. Próbowwała udawać przed nim twardą i stanowczą, choć wiedział, że w głębi ducha drży i płacze jak małe dziecko. Jej serce było złamane w pół. Wiedział, że nie jest w stanie jej uleczyć, choć bardzo tego pragnął.

- Proszę, skończ już tą wojnę.

- Ona skończy się dopiero, gdy ludzie oddadzą nam pokłon.

- Przecież wiesz, że tego nie zrobią.

- To niech sobie giną.

- Jesteś okropny. Nie ma w tobie nic litości?

- Oni nie mieli dla mnie litości. – Odrzekł z nienawiścią w głosie.

- Sam powiedziałeś, że są bardziej dzicy niż zwierzęta. Bądź ponad nimi. Oszczędź ich. Okaż litość. Jesteś od nich lepszy. Twoja rasa jest wspaniała. Potraficie zrobić tyle dobrego.

- Tak, ale ludzie właśnie za to nas nienawidzą. Jesteśmy inni, a co za tym idzie, uważają, że gorsi.

- Ale ty wiesz, że tak nie jest. – Przemawiała do niego błagalnym tonem.

- Ta wojna się nie skończy. Za każdego naszego, zginie dziesięciu ludzi. Za jedno zburzone miasto, spłonie dziesięć ludzkich wiosek. Niech znają swe miejsce.

- Skoro taka jest twoja wola, to wiedz, że masz we mnie wroga. Nienawidzę cię z całego serca.
- Wiem. – Powiedział słowami. - Ale wiem też, że mnie kochasz. – Dodał w myślach.
- Jak nikogo innego. – Odparła w jego języku nie używając dźwięku do przekazania słów.
- Więc ten jeden raz pozwól mi się kochać. – Odparł przyzywając ją do siebie.

Telemida spojrzała na niego z nienawiścią, a jednocześnie pragnąc go z całego serca i rozkoszując się jego spokojem i ciepłem umysłu. Wtuliła się mocno w mocarne ramiona i złożyła usta na jego wargach. Tak bardzo za nim tęskniła. Nie była w stanie mu się oprzeć. Nie chciała.

Tej nocy Telemida dała mu tyle szczęścia ile tylko potrafił wziąć. Nie chodziło jedynie o kontakt fizyczny. Kobieta bez reszty zatraciła się w nim, tak jak on w niej. W trakcie miłosnego aktu słyszał jak wołała jego imię, jak jej umysł pęka od potoku myśli i doznań rozkoszy.

Przesyłając mu ten nastrój panujący w jej jaźni, czuł się jeszcze bardziej kochany i spełniony niż kiedykolwiek. Wiedział, że ich szczęście będzie trwało wiecznie. Już nigdy nie pozwoli jej odejść. Wojna musi się skończyć.

Choć na dworze panowała śnieżna zamięć, jego nagie ciało wciąż płonęło piekielnym żarem. Z rozkoszą i czułością wpatrywał się w śpiącą u jego boku Telemidę. Była taka słodka, ale też i strasznie naiwna.

Czemu tak zależało jej na tych pierwotnych i dzikich stworzeniach, które nie potrafią uszanować życia? Dlaczego tak usilnie próbowała mu wmówić, że jest jedną z nich? Wierzyła w to tak mocno. Była lojalna. Nie chciała, żeby ludziom stała się krzywda.

Tylko, że niestety nie rozumiała nic oślepiąca tym swoim współczuciem. Ludzie sami sobie zakładali pętle na szyje i zbijali szubienice atakując i niszcząc wszystko to, co nie było podobne do nich.

Gdyby nie zabijali z tak głupich przyczyn. Gdyby umieli uszanować Drzewo. Gdyby nie atakowali magów. Gdyby tylko chcieli się od nich uczyć. Z całą pewnością ich populacja nie była by teraz tak niewielka.

Cóż... Naturalna selekcja. Jeśli ktoś atakuje każdego i wszystkich, to sam stwarza sobie wrogów. Magowie i leśne zwierzęta już zbyt wiele czasu próbowali schodzić z drogi tej agresywnej i głupiej rasy. Myślą, że są panami świata. Nie wiedzą, jak bardzo się mylą. Świat nie ma panów. To harmonia życia w kręgu.

- Enki! – Usłyszał nagle w swojej głowie.

Wołanie sprawiło, że dreszcz przeszedł po ciele. Nagle ciepło zmieniło się w lód, a jego ciało porwała fala zimnych skurczów.

Przed oczami miał obrazy krwi. Cmentarna wizja śmierci zawładnęła jego umysłem. Widział strzały. Wojownicy przebijali włóczniami ciała kobiet i dzieci. Atakowali z zaskoczenia. Podpalali domy. Gwałcili i mordowali. Niszczyli wszystko, co stało na drodze ich gildii.

- Enki! Pomóż nam! – Raz jeszcze usłyszał emanujący strachem i bólem zew.

- Oni spali, gdy to się wydarzyło! – Krzyknął poruszony wizją. – Zaatakowali ich z nienacka.

- Co się stało? – Telemida otworzyła oczy przypatrując mu się z lekką obawą.

- Twoje bydło napadło Miasto Północy! – Rzucił z gniewem zeskakując z łoża i wkładając swą szatę.

Ubierał się w pośpiechu, choć wiedział, że jest już za późno na pomoc. Wołania w jego głowie zamilkły. Towarzyszka, którą znał od dzieciństwa, a która teraz błagała go o pomoc, wyzionęła już ducha. Nie zdołał jej ocalić. Jej, ani nikogo innego.

- Ludzie zaatakowali?! – Podniosła się z posłania z błyskiem w oczach.

- To nie ludzie! My jesteśmy ludźmi. Oni to jedynie prymitywna i nieudana wersja człowieka.

- Zepchnęliście ich na skraj nędzy! Ich dzieci również umierały, tylko, że z głodu. – Odparła broniąc swej rasy i równie pośpiesznie jak on zakładała swą suknię. – Gdzie idziesz? – Spytała wodząc za nim wzrokiem, gdy naciągał buty i kierował się w stronę drzwi.

- Na wojnę. – Odparł sucho ignorując jej pełne strachu spojrzenie. – Zostań w chacie. Tu będziesz bezpieczna.

- Bezpieczna? – Złapała go za rękę obracając ku sobie i zmuszając by spojrzał jej w oczy. – Nie jestem jedną z was. Twój ludzie będą chcieli pomścić śmierć twojej rasy. Zabiją mnie gdy cię nie będzie.

- Nie jesteśmy tacy. Szanujemy życie i tych, którzy nas szanują.

- Enki, już raz cię straciłam. Rozdzielono nas na tak długo. Proszę, nie zostawiaj mnie samej. Nie chce, żeby tak to się skończyło. – Rzuciła w głos, po czym dodała w myślach. – Nie chcę żebyś umarł. Nie potrafiłabym żyć bez ciebie.

- Och, skarbie. Ja bez ciebie też nie mógłbym żyć. – Odparł mocno ją do siebie tuląc.

Telemida przyłgnęła do niego tak mocno i zachłannie, jak tylko potrafiła. Enki był jej jedyną miłością. Nawet w obliczu walki i zbliżającej się wojny, gdy wreszcie przyjdzie czas, że będzie musiała opowiedzieć się za przynależnością do jednej z ras, nie mogła przestać myśleć o tym jak bardzo go potrzebuje i ile dla niej znaczy sam fakt, że może przebywać w jego obecności.

Zostać z nim i wyrzec się swej własnej rasy? To jak wyrzec się samego siebie. Ale jak mogłaby stanąć przeciwko niemu? Był tak dobry i uczciwy. Wiedziała, że nie chce wojny tak samo jak ona. Zdawało się, że nie ma dobrego wyjścia z tej chorej sytuacji, jaką stawiał przed nią los.

- Proszę, pozwól mi jechać z sobą. – Rzuciła błagalnie.

- Chcesz jechać ze mną? - parsknął śmiechem i łapiąc ją mocno za ramiona. – Jako kto? Jedna z nas, czy jedna z nich.

- Nie wiem. – Odpowiedziała szczerze.

W głowie miała mętlik. Nie mogła opowiedzieć się po żadnej ze stron. Kochała swych ludzkich towarzyszy i czuła się jedną z nich. On jednak był miłością jej życia i dobrze wiedziała, że w jego słowach było sporo prawdy.

Ludzie zasłużyli sobie na to by głodować. Niepotrzebnie atakowali magów. Jego rasa nie niszczyła ludzkich wiosek. Chcieli zgody. Leśne zwierzęta ich nie atakowały. Żyli w harmonii z otaczającym ich światem. To ludzie byli powodem wojny.

Ale jak mogła ich opuścić w chwili, gdy los jej rasy zdawał się być przesądzony? Ludzie umierali. Jej bracia i siostry cierpieli. Napadali ze strachu. Walczyli o swe rodziny. Może było to prymitywne i złe, ale inaczej nie potrafili postępować.

- Nie mogę z tobą zostać. Moi ludzie potrzebują mego przewodnictwa. Beze mnie będą błądzili niczym dzieci w ciemnościach. Jestem im potrzebny.

- Nie chcę byś został. Chcę byś zabrał mnie ze sobą.

- Nie jesteś wojowniczką. To nie miejsce dla ciebie. Możesz zostać zabita.

- Nie dbam o to. Chcę być z tobą. – Wciąż prosiła.

- Ubieraj się. Dołączysz do mnie. Jeśli zdołasz. – Dodał cokolwiek miał na myśli całując jej spierzchnięte usta i zostawiając ją w chacie.

Na zewnątrz było jasno. Płatki śniegu unosząc się w powietrzu tańczyły niczym mikroskopowe prima baleriny odbijając promienie brzasku. Szarość przelewała się niebem od chaty do chaty. W oknach domów kolejno pojawiały się jasne plamy w oknach.

Zew śmierci wdarł się nie tylko w jego umysł. Wielu jego towarzyszy biegało po rynku z mieczami w dłoniach lub stukalo do kołatek sąsiadów, by i oni wyruszyli na pomoc Miastu Północy.

Enki podobnie jak pozostali ruszył w stronę dawno zapomnianej zbrojowni. Nim Telemida wybiegła z domostwa, on był już daleko. Poza zasięgiem jej wzroku. W sercu miała niepokój i lęk spowodowany strachem o swoich, jednak widok ludzi biegających w zwartym szyku powodował w niej zachwyt.

Każdy znał swoje miejsce i wiedział co należy do jego obowiązków. Zachowywali się jak mrówki kroczące jedną ścieżką. Takie zgranie i harmonia nie byłyby możliwe gdyby nie umiejętność porozumiewania się za pomocą myśli.

Nie słyszała żadnych krzyków, ani lęku w ich głosach. Mnóstwo ludzi połączonych jedną świadomością działało w obliczu wojny niczym jedno ciało. To było piękne, ale też i smutne. Nie umieli posługiwać się bronią tak, jak jej lud.

Ludzie od wieków posługiwali się włóczniami i harpunami polując na zwierzynę. Walkę mieli we krwi. Ci ludzie natomiast nigdy nie posługiwali się bronią w celu zabijania. Mimo to ruszyli po nią gotowi do ataku w zwartym szyku. Grupowali się zupełnie jak ludzie w obliczu zagłady.

Nie unikało z wątpieniu, że potrzebowali Enki tak samo, a może nawet bardziej niż ona. Potrzebowali przewodnika, który pokaże im jak zabijać i poprowadzi do boju. Byli gotowi do ataku tak mocno, jak mocno nacierali na nich jej ludzie.

- Enki! – Spróbowała przebić się przez niewidzialną zaporę jego umysłu, ale w tym harmiderze, nie była w stanie się skupić.

Stanąła w miejscu rozglądając się dokoła. Musiała go odnaleźć. Śnieg prószył w oczy zasłaniając widoczność. Zimny wiatr wdzierał się pod suknię i płaszcz, którym szczelnie się owinęła.

Obok niej przebiegło kilku mężczyzn. Ruszyła za nimi bacznie im się przyglądając. Najpierw zniknęli w pomieszczeniu zbudowanym pod ziemią niczym borsucza nora, a następnie z bronią w ręku ruszyli w stronę tylnych bram miasta. Wszyscy wojownicy biegli w tamtym kierunku. Ona również podążyła za nimi.

Za metalową bramą rozpościerały się pasma wysokich traw wokół lasu. Wszyscy gromadzili się na łące. Ziemia zaczęła drżeć pod jej stopami. Usłyszała stukot końskich kopyt.

Z głębi lasu wyłonił się sznur wierzchowców o zwichrzonych grzywach. Konie przybywały na odsiecz wołane głosami wojowników. To również ją zachwyciło. Magowie nie musieli tak jak ludzie pozyskiwać posłuszeństwa zwierząt.

Nie trzymali ich na uwięzi. Wystarczyło poprosić o pomoc, a potężne stworzenia bez zastanowienia ruszyły im na pomoc. Jak można było nie podziwiać jego rasy i wątpić w słowa, w których rzekł, że ludzie są jedynie nieudaną imitacją magów?

Było w tym sporo racji. Gdyby ludzie słuchali magów, nie doszłoby do żadnej wojny. Ale doszło. A ona nie może pozwolić, by tak mała garstka ludzi, która uchowała się na tym świecie, została zgładzona.

- Enki! – Raz jeszcze przywołała go w myślach. – Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

- Czekam w kolejce. – Pojawił się po chwili przekaz. – Jeśli uda ci się do mnie dołączyć, możesz jechać.

Jeśli uda się dołączyć? Patrząc jak wojownicy przyzywają do siebie dzikie mustangi, odniosła wrażenie, że zaczyna wreszcie rozumieć, co miał na myśli. Musi zdołać przekonać jedno ze zwierząt, by uniosło ją na swym grzbiecie tak jak innych wojowników. Jeśli uda jej się to uczynić, będzie miał dowód na to, że jest jedną z nich.

A może to właśnie chciał jej udowodnić? Pokazać jej, gdzie jest jej miejsce. Do której rasy należy. Po której stronie powinna się wypowiedzieć. Bez względu na to kim była i co chciał jej udowodnić, musi przekonać wierzchowca. Nie może pozwolić, by zostawił ją samą.

Zamknęła oczy próbując skupić myśli. Mimo mroku, który pojawił się pod powiekami, widziała majestatycznie galopujące stworzenia, gdy biegną przez ośnieżoną, białą łąkę. Którego wybrać? Którego zechce ją ponieść?

Wtem odpowiedź pojawiła się sama. Spośród tłumu ludzi, spośród stada zwierząt, nagle zobaczyła na czele brązowej maści tytana, który samotnie zmierzał w jej stronę. Nic porozumienia nawiązała się między nią, a zwierzęciem. A raczej istotą, leśnym bytem równym jej. Gdy tak o nim pomyślała, koń sam zaproponował swą pomoc.

Otworzyła oczy. Nadal go widziała. Czowała, że zmierza właśnie ku niej. Wyciągnęła rękę przed siebie, jakby chciała mu powiedzieć: „Witaj mój przyjacielu. To na ciebie czekam. Jestem wdzięczna za twą pomoc.”

Wtem miękka skóra na pysku konia złączyła się z jej dłonią. Zwierzę zarżało stając przed nią, jakby odpowiadało: „Już jestem. Wsiadaj na mój grzbiet. Poniosę cię wszędzie tam, gdzie poprosisz”.

W tym momencie odważyła się. Przeciągnęła dłonią po błyszczącym końskim włosiu na jego boku witając zwierzę i dziękując mu za pomoc, a następnie złapała się grzywy i wciągnęła na jego grzbiet.

Nigdy jeszcze nie podróżowała bez siodła. Galop okazał się jednak bardzo delikatny, a ona czuła dopasowanie i zgranie z leśnym stworzeniem. Nie bała się, że spadnie. Z góry wszystko widać było znacznie lepiej.

- Idź za mym głosem. – Pojawiło się w jej umyśle. – Cieszę się, że jesteś z nami. – Usłyszała pulsujące w myślach słowa Enki.

Nie wiedziała, czy mówiąc „z nami” nie chciał podkreślić, że oto ona, ludzkie stworzenie, tak naprawdę nie należy do ludzi, lecz jest podobna do rasy magów i z nimi powinna zawrzeć przymierze. A może po prostu pochwalił ją, że zdołała przebić się przez okowy swego ciemnego, ludzkiego ciała?

Po chwili galopowała już u jego boku. Choć nie rozmawiali, czuła się szczęśliwa, że znajduje się tak blisko niego. Nim dojadą do atakowanego miasta, minie sporo czasu. Być może był to jedyny czas, jaki dla siebie mieli. Niedługo jedno z nich umrze. Zginą ludzie, lub nieumiejąca używać broni rasa nadludzi.

Podróż trwała dwa dni i dwie noce. Przez ten czas trzykrotnie zmieniali konie. Zmęczone galopem zwierzęta wracały do swych domów, zaś ich miejsce zajmowały kolejne stada. Dzięki temu żadne ze zwierząt nie padło po drodze, a ich podróż była znacznie szybsza, niż gdyby ludzkim sposobem przymusili zwierzęta do współpracy.

Podczas eskapady żywili się mchem porastającym drzewa, gdyż wszelka roślinność znajdowała się głęboko pod ziemią. Nie było jednak czasu na pakowanie zbóż ze spichlerza. Gdy wrócą do domów, napełnią żołądki lepszą strawą. W tej jednak chwili musieli podjąć walkę o istnienie swego gatunku.

Podczas podróży nie zamienili ze sobą prawie jednego zdania. Nie było na to czasu, jednak myśl, że jeszcze może delectować się jego obecnością, dodawała jej otuchy. Niespełna jedna noc. Jedyne tyle mieli dla siebie. Był to jedyny czas, gdy istnieli tylko dla siebie. Wojna miała zniszczyć wszystko to, co kochała.

Zginą jej pobratymcy. Kimkolwiek by się nie okazała przegrana rasa, gdyż ona należała do obu tych zwaśnionych światów. Skończy się ich wspólny czas. Przestaną istnieć obok siebie. Ta strata, choć jeszcze nie nastąpiła, bolała ją najbardziej.

Jedynie dwa wzgórza dzieliły ich już od napadniętego miasta. Wojownicy posilali się tym, co uchowało się pod ziemią. Telemida ze smutkiem w oczach wpatrywała się w dal nie zważając uwagi na nikogo i na nic. Zupełnie jakby świat przestał istnieć.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. – Usłyszała niemy głos towarzysza, a po chwili poczuła dotyk dłoni na swym ramieniu.

Nie musiała się odwracać. Wiedziała kto stoi za jej plecami.

- Już niedługo wszystko się skończy. – Wyznała drżącym od łez głosem.

- Nie wszystko. – Odparł z troską. – Nasza miłość nigdy się nie skończy. – Powiedział pragnąc dodać jej otuchy, gdyż dobrze znał jej obawy i powód smutku. – Co by się nie wydarzyło, zawsze będę przy tobie.

- Już nigdy nie będziemy razem. – Stwierdziła wciąż wgapiając się tępych wzrokiem w białe wzgórza przed nią. Dotknęła jego dłoni. – To koniec zarówno pokoju, jak i nas.

- Nie prawda. Śmierć nie sprawi, że przestaniemy się kochać. Nasza miłość będzie wiecznie płonąć niczym jasne światło pochodni. Tu i teraz, gdzie przysięgłem wszystkim moim rodakom, że bezpiecznie poprowadzę ich do zwycięstwa, tak przysięgam i tobie, że nigdy cię nie opuszczę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? – Spytała odwracając się ku niemu i spoglądając na uroczą twarz ukochanego.

- Śmierć nie stoi na przeszkodzie. Są obietnice, które są w stanie ją pokonać. Jeśli nawet moje ciało umrze, dusza zawsze cię znajdzie. Gdyby nie wojna, moglibyśmy już teraz być razem. Ale jeśli postanowisz stanąć po stronie dzikusów i oddać swe ciało śmierci, odnajdę cię w kolejnym ciągu karmicznym. Zawsze będę przy tobie.

- Naprawdę? – Spojrzała na niego z nadzieją w oczach. – Jesteś w stanie pokonać śmierć?

- Jestem. Ty też jesteś. Bo jesteś jedną z nas. Gdy nasze dusze odrodzą się z martwych w kolejnym wcieleniu, nie będzie już żadnej wojny ani waśni. Będziemy razem na wieki. Wierzysz mi? – Dotknął czule jej policzka.

- Wierzę ci z całego serca. – Odparła płacząc ze szczęścia i całując jego dłoń.

W tej jednej chwili, gdy stali tak samotnie przed wzgórzem, zrozumiała po czyjej stronie się opowiedzieć. Przysiągł jej, że nigdy jej nie opuści, że odnajdzie ją w kolejnym wcieleniu, gdy nie będzie już wojny. Była zatem nadzieja dla ich miłości.

Ale teraz... Jego śmierć wyrównałaby szanse obu gildii. Gdyby nie przewodził swymi braćmi, którzy nie znali sztuki walki, ludzie mogliby zwyciężyć. Było ich tak mało. Cóż magom po jednej małej mieścinie? Mają ich więcej. Ludzie też muszą żyć.

To, co planowała było okrutne. Jako człowiek, nie mogła jednak postąpić inaczej. Musiała wspomóc swój lud, tak jak on walczył o dobro swego. Zabijając go, zabije również siebie, bo nie będzie wstanie bez niego żyć, ale nie było innego rozwiązania. Tylko tak może ocalić swój ród. Serce ścisnęło ją z żalu.

- Błagam cię, wybacz mi mój uczynek. – Jęknęła z bólem padając przed nim na kolana. – Wiedz, że jesteś największą miłością mego życia. Szanuję ciebie i twój lud ponad siebie. Jesteś wspaniałym człowiekiem i władcą. – Trajkotała bez opamiętania.

- Telemido, co robisz? – Spojrzał na nią z góry zdziwiony jej postępowaniem. – Proszę cię, wstań.

- Błagam cię mój panie, przebac mi mą zdradę. – Mówiła ze swej pozycji.

- Zdradę? Najdroższa moja! – Rzucił podniesionym z napięcia głosem. – Nigdy nie będę cię winił za to, że bratasz się z ludźmi. Twe serce wypełnione jest miłością i pokojem. Podziwiam cię za to. – Wyznał klękając obok i biorąc w dłonie jej twarz.

- Wybacz kochany. – Wyszepiała cichutko jakby nie mówiła do niego lecz przemawiała do samej siebie próbując usprawiedliwić swój czyn. – Wybacz, bo ja sama nigdy sobie tego nie wybaczę. – To mówiąc ostatni raz spojrzała w jego piękne orzechowe oczy, po czym szybkim ruchem dłoni sięgnęła po sztylet wciśnięty w wysokie buty i wbiła mu go w serce pozwalając by martwe ciało ukochanego padło bezwiednie w jej ramiona.

(Opowiadanie wyróżnione w Regionalnym Konkursie Literackim stało się prologiem, na którego bazie napisana została powieść pt. „Wspomnienie Umarłej”. Powieść nie została jeszcze opublikowana.)

Sammael

Nie tak wyobrażała sobie astral. Świat, w którym się znalazła był szary i obdarty z wszelkich barw niczym wyschnięte na wiór drzewo pozbawione życia. Wkroczyła tu dawno temu, ale monotonia sprawiła, iż zdawało jej się, że dopiero przekroczyła jego barierę, choć w zasadzie, nie była to żadna brama, a raczej płaszczyzna przez którą przenika się jak przez mrok. Nawet cienie zdawały się być okradzione ze swej soczystości i barwy otaczając ją matowością i bezkształtem.

Nie dostała zaproszenia, a mimo to chciała przebyć chronione pasma. Nie był to jeszcze astral, jak podejrzewała, a jedynie eter, który odstraszał wszystkich skażonych. Nic się w nim na pozór nie działo. Był pustym, martwym miejscem, zapomnianym nawet przez zmarłych. Kraina nicości. Lecz w rzeczywistości zwodniczy świat dualny. Maską wdziwaną na ślepo i przez ślepcę.

Nie łatwo się było w nim poruszać. Każda droga prowadziła donikąd. Każdy zakręt spotykał się u jednego ujścia. Dokąd by nie poszła, którego kierunku nie wybrała, i tak zawsze dojdzie do jednego miejsca. Do miejsca nieokreślonego żadną materialną ścianą, gdzie nie ma biegunów i nie obowiązują prawa fizyki, a sufit jest podłogą, przy czym nigdy nie wiadomo po której stronie podłogi się stoi. Którędy by nie szła, trafi wszędzie, a jednocześnie nigdzie.

Mogła tu błądzić bez celu tak długo, aż znajdzie cel, lub też tak długo szukać celu, aż trafi donikąd. A jednak czegoś szukała. Nie wiedziała czego. Może jej wędrówka była jedynie odpowiedzią na ludzki świat pozorów. Tu nie było żadnych reguł, lub też nie przypominały szablonowych schematów. Ale też nie znalazła żadnego celu ani nic, co sprawiłoby, że jej życie stanie się barwniejsze.

Zatracona w nicości i beczasie zaczęła karmić się pustką. Patrzyć, ale nie analizować. Była. Trwała. Egzystowała w tej niematerialnej płaszczyźnie. Wrastała się w nią i rozmywała jak ten nierealny świat pozostawiając za sobą swą cielesność.

Szary mrok zaczął mienić się odcieniami. Coś się poruszyło. Bezląd stał się oto centrum istnienia, a przed nią wyrosły pastwiska. Pojawiły się samoczynnie. Nie zrobiła tego celowo. Nie stworzyła ich w swej głowie. Po prostu czekała i patrzyła pozwalając, by umysł wypełnił się nicością, a świat, w którym się znalazła, otworzył przed nią swe mury.

Pojawiły się drzewa. Szumiące swą bezbarwną ciszą, a jednak żywe, choć zupełnie bezkształtne. Paradoks. Jedynie to mogło określić owe miejsce, które choć nie fizycznie, ale istniało. Chwiały się jakby w konary dął wiatr, którego nie było. A jednak nie zważyła.

Szare gałęzie zaczęły się rozsuwać ukazując jej drogę. Nie wiedziała czy dobrze zrobi podążając wskazaną ścieżką, ale skoro droga sama przed nią wyrosła, należało skorzystać z zaproszenia nicości i sprawdzić co, a w zasadzie jakie „nic” znajduje się na końcu, lub też początku drogi, którą miała podążać.

Kroczyła poprzez bezbarwne jestestwo szarości, pozoru i złudy niczym przez platońską jaskinię wypełnioną światłem ogniska ukazującego ludzi zakutyh w mentalne kajdany moralności. Nawet nie szła lecz w zasadzie płynęła, gdyż tak można by opisać podróżowanie w świecie, który nie istniał. Jej kroki były jedynie pozorem. Nie dotykała stopami ziemi. Podłoże nie istniało.

Lecz czy rzeczywiście go nie było? Czy można poczuć coś czego nie ma? Coś, co nie istnieje? A jednak było. Zupełnie jak energia Boga, której nie widać, a jednak żyjemy w nim i gdy otworzymy na niego umysł i duszę, możemy go poczuć, a nawet w jakiś sposób dotknąć i złączyć się z nim. Tak też było z ową krainą – światem stworzonym w maskaradzie.

Nagle pion, w którym się poruszała przemienił się w poziom. Leżała czując oddech ziemi, którą się stała patrząc w niebo, które było jedynie pozorem stworzonym z szarej, niematerialnej przestrzeni. Nad jej głową pojawiła się gałąź. Suche patyki wyrastające znikąd. Krzaczasta dłoń otworzyła przed nią swe wnętrze ukazując złote jabłko.

- Nie wszystko jest tym, czym się wydaje być – usłyszała głos w swej głowie, który tak naprawdę stanowił jedynie przekaz. Nie miał barwy, żadnego tonu, kolorytu, ani nie wydobywał się z niczyich ust.

Coś dotknęło jej czoła. Poczła energię wszechświata wypełniającą jej wnętrze. Siłę kosmosu spływającą do trzeciego oka. Czakra napelniała się po brzegi sprawiając, iż kobieta nie była już kobietą, a jedynie częścią świata. Obu światów, w których istniała. Zarówno tego cielesnego, jak i duchowego.

Była ziemią. W niej rosło drzewo. Czula jego oddech. Korzenie, którymi była i które to ją oplatały. Widziała też, lecz nie oczami, które były wszak zamknięte, lecz odbierała wszystko to, co znajdowało się nad nią. Złote jabłko do niej przemawiało bezbarwnym głosem harmonii i połączenia.

Czym lub kim była ta magiczna jabłoń? Czy stanowiła ludzki obraz Drzewa Poznania Dobra i Zła, który znała? A może był to symbol mistycznego Drzewa Życia stanowiącego starożytny diagram wszechświata? Mógł być wszystkim, a jednocześnie niczym. Stwór, którego częścią była stanowił nowy ład i porządek świata.

Tak jak diagram wszechświata, który był starszy nawet od diagramu planet wokół słońca, wskazywał na nieskończenie wiele dróg, z których wszystkie łączyły się z sobą, lecz nie w sposób fizyczny i gdzie każda z sfer przenikała inne drogi biegnące we wszystkich czterech światach, tak drzewo, którego częścią była również stanowiło odzwierciedlenie ludzkiej duszy.

Drzewo dało jej mądrość, lecz była to pusta i nieprzydana wiedza. Nie słowami, ani też obrazem, ale oddechem korzeni wskazało jej na przenikające się ścieżki, które to kabaliści i magowie w sposób bardziej świadomy niż jej marny umysł, są w stanie opisać tajemnice mistycznych części światów przenikających się wzajemnie, poznać symbolikę źródeł snów, skarbcza archetypowych wyobrażeń podświadomości, świadomości i nadświadomości, oraz nie fizycznych miejsc zamieszkiwanych przez pradawne duchy zmarłych, demony i anioły.

Wiedziała, że nie jest w stanie ogarnąć ani w najmniejszym stopniu zrozumieć tejże rzeczywistości, która mogła stanowić jedynie metaforyczny obraz wszechświata. Wiedziała już jednak, iż nie płynie po prostej rzece czasu, a znajduje się w czymś, co jest o wiele bardziej złożone i głębokie, niczym bezdenna otchłań morza kryjąca w sobie tajemnicę, której jej ludzki umysł nigdy nie posiada.

Wraz z tchnieniem wiedzy, która to raczej stanowiła posmak tego, iż nie jest w stanie okiełznać i zrozumieć ogromu, do którego wkroczyła, a którego częścią była od zawsze, jak wszystko to co istnieje w sposób materialny, lub też jedynie duchowy, poziom znów stał się pionem, a ona stała przed jedną z nieskończenie wielu dróg.

Postanowiła zbadać i tę nieskończoną cząstkę wszechświata, w której była jedynie maleńką drobiną piachu. Wiedziała, że zrodzi to jeszcze więcej pytań, aniżeli odpowiedzi, lecz świadomość o swej maleńkości i łączności z czymś nieskończonym, sprawiła, że zapragnęła jeszcze mocniej stać się częścią owego świata zmysłów.

Lecz to nie ona szła, gdyż jej nogi pozostawały niewzruszone. Zmieniał się świat przed nią. Drzewa ugiwały się rozchodząc wokół ścieżki, a przed nią wciąż wyrastał nowy obraz rzeczywistości. Płynęła przed siebie. Przenikała ten świat jedynie myślą, gdyż taki właśnie był.

Nieświadomie, zupełnie otwarta, na to, co się przed nią malowało, pozwoliła poprowadzić się do miejsca, w którym szarość przenikał ogień. Nadal nie wiedziała czego szuka, ale wiedziała i czuła potrzebę znalezienia. Musiała odnaleźć... Co? Wiedziała jednak, że musi.

Ogień wychylający się z misy podwieszanej do skalnej wyrwy, lub też betonowego bloku, skrzył się jasną barwą oświetlając drogę poprzez mrok jej własnego jestestwa. Był to ogień, którego nie widzi się oczami, lecz czuje każdym zmysłem, a gdy już się go zobaczy, niewidzialne łączy szczęścia napływają do oczu, a serce mięknie i roztapia się pod wpływem jego aury. Odniosła wrażenie, iż znajduje się w jakiejś mistycznej świątyni.

Tu nic nie było tym, na co wyglądało, lub nie wyglądało tak, jak wyglądałoby w rzeczywistości. Musiała wsłuchiwać się w swój wewnętrzny głos, który znał to miejsce ze snów zupełnie tak, jak pszczoły znają drogę do ula. Niemal instynktownie. Nie było mowy o empirii, lecz ta zdawała jej się towarzyszyć.

Znalazła się w mieście zbudowanym z kamienia. Drogi wyłożone były brukiem. Wszystko było takie stare i zniszczone oraz metaliczne, chłodne i bezosobowe. Wołało pustką zapomnienia poprzez jęki wiatru znad morza, przy którym stała wgapiając się w palające strachem i przerażeniem szare bałwany napelniające ją goryczą i służalczym uniżeniem lęku niczym egalitarny Styks przeznaczenia, gdzie kończy się każdy ludzki pływ.

Szarość była tak ciemna, iż odczuwało się nocną porę każdym zmysłem. Morze szalało w swym szkarłatnym łonie okrucieństwa, a ona czuła smutek i żal wypełniający jej kości i proch, którym była.

Coś przywoływało ją do jednego z domów w dali, gdzie w chwilę później się znalazła przekraczając wrota domostwa. Na stołku przy stole siedział stary mężczyzna zwrócony do niej plecami. Nie widziała jego oblicza.

Rąbał tasakiem ludzką dłoń. Za jego plecami na wielkich hakach umocowanych do ściany wisiały człowiecze tusze obdarte ze skóry. Po krwiście czerwonym mięsie płynęły szkarłatne stróżki. Choć był to obraz niczym z koszmaru sennego lub też zniekształconego świata groteski stworzonego przez Ferdynandę, nie musiała się lękać, gdyż była jedynie widzem tej makabrycznej sceny. Nie było jej tu w rzeczywistości. Nic takiego nie miało miejsca.

Odwróciła spojrzenie, a raczej to wzrok sprawił, że obraz, który widziała załamał się ukazując sien znajdującą się po jej prawicy. Na schodkach siedziała stara pomarszczona kobieta ściskająca w dłoniach warkocz czosnku.

Była jego matką. Czyją? JEGO. Nagle zapragnęła GO poznać. Poznać tego, którego nieświadomie szukała. Był, który tak bardzo ją przyciągał. Pragnienie było tak wielkie, że oddałaby życie, by tylko go spotkać na swej drodze. Nigdy niczego nie pragnęła równie mocno. Był tym, kogo szukała, choć w zasadzie nie wiedziała, że ma w sobie tak wielką siłę i chęć do odnalezienia go. To było sensem jej marnego żywota.

Chciała wiedzieć, gdzie on jest. Nie było go tu. Staruszka też tego nie widziała. Ona zaś odwróciła się by wyjść i spotkała go na brzegu morza. Choć nie wyglądał jak człowiek i raczej wydawałby się większości ludzkim schematom i symbolom piękna ohydztwem, był dla niej niewymownie piękny.

Człowiek bez twarzy patrzył na nią swymi przesiąkniętymi czeluścią oczami. Jego lice było białe jak mąka, a szaty żałobne. Przypominał szkielet okraszony mocarnymi skrzydłami wiatru, które rozpościerały się za jego plecami. Szacunek, respekt, pożądanie, miłość, szaleństwo, wiedza, siła, nadludzkość. Wszystko to od niego biło, lub też poczuła to we własnym ja, gdy patrzyła na tego mocarnego pana z kielkującymi wypustkami na zniekształconym czole, które były bardzo uwydatnione.

- Kim jesteś? – Zapytały jej myśli.

- Mówią na mnie Samael, choć mam wiele imion. Zwań mnie Samiel. Wołają na mnie Siegiel. Mogę być kobietą lub mężczyzną, a w rzeczywistości jestem bezosobowy. Jestem Sammael. Moje imię to Sataneal. - Odpowiedział luźny strumień świadomości.

- Kim jesteś? - Wciąż wołała jej świadomość błagając o zrozumienie.

- Jestem aniołem śmierci. Duchem zniszczenia. Oskarżycielem. Uwodzicielem. Dostarczycielem wyroku. Tym, który przynosi mrok i zniszczenie. Tym, który daje ukojenie. Me imię to Satan.

- Szatan? – Pojawił się krótkotrwały lęk wywołany schematycznym skojarzeniem.

Ale czy anioł śmierci, ten, który stoi po drugiej stronie światła, jest kimś, kogo należy się lękać? Czyż z chaosu nie rodzi się harmonia? Czy śmierć nie jest początkiem życia? Czy gdyby nie istniał mrok, istniałaby jasność? Jak więc mrok może być zły, skoro sprawia, że dzieje się ogień?

Każde życie jest wszak drogą do śmierci, a człowiek, który żyłby wiecznie mimo starzejącego się i cierpiącego ciała oraz patrzył jak kolejno odchodzą jego najbliżsi, zaznałby szczęście w wiecznym życiu uwięziony w materialnej postaci swego istnienia?

Odpowiedź znów przyniosła nieskończenie wielką fontannę pytań, ale ta mała kropla zrozumienia, która spłynęła po jej czole, sprawiła, że poczuła szczęście wypełniające ją ciepłą energią wszechświata, która krążyła w każdej molekułe życia łącząc się ze śmiercią.

- Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz. – Odpowiedział mroczny pan, a jej podróż poprzez krainę maskarady dobiegła końca.

Wiedziała już czym jest i wiedziała, że jest zbyt mała by mogła zrozumieć tajniki otaczającego ją świata. Nie tylko tego astralnego i duchowego, lecz świata z krwi i kości, którym ludzie władali i zarządzili niczym panowie życia za których się uważali.

Zawsze już będzie stała na granicy obu światów i nigdy nie zazna zrozumienia ogółu. Nie zintegruje się z biegnącą na ślepo ludzką trzodą zatracającą sens istnienia. Ludzkie pojmowanie świata, dobra i zła, opierało się na schematach. Widziało jedynie czerń i biel pomijając szarość oraz wzajemną kooperację cienia i światła. Zaś świat, niczym jak w wyobrażeniu platońskiej jaskini zmysłu i rozumu, nie był tym, czym się wydawał, a całe postrzeganie było jedynie próbą interpretacji schematów, którzy ludzie sami tworzyli i wzajemnie kazali sobie ich przestrzegać.

Przenikając do swego świata poczuła duszą prawdziwe znaczenie słów Koheleta, które napęłniły ją żalem ze zrozumienia i bólem pojmowania oraz żalnością ludzkiej egzystencji oraz sprawiły, że nigdy już tak prawdziwie nie opuści świata mistyfikacji patrząc na ludzkie wioski jedynie jako nieobecny widz, który widzi zbyt dużo i zbyt intensywnie, by nieświadomie uczestniczyć w życiu.

Uderzyło ją gorzkie znaczenie i mocne zestawienie słów: „marność nad marnościami i wszystko marność”, które to sprawiły, iż poczuła niewyobrażalny ból i pustkę, a następnie ogarnął ją smutek, tęsknota za nieziszczalnym i żal rozstania ze swym wiecznym towarzyszem.

Wampir z mgieł

Dawniej była kimś. Szanowaną znaną, lubianą i podziwianą personą w swym mieście. Kiedyś się liczyła. Ale nie teraz. Nie tu. Stała się zwykłą pomywaczką. Jak mogła do tego dopuścić? Postawiła wszystko na jedną kartę. Wyruszyła do innego miasta stając się niewolnicą w złotej klatce. Zostawiła wszystko. Porzuciła swój dom, rodzinę, przyjaciół, karierę. Wszystko dla niego zostawiła! A on? Okazał się zwykłym katem, oprawcą, zwyrodniałym potworem. Nienawidziła go. Miłość już dawno odeszła. Teraz była tylko ona i jej żal. Nie zasłużył na takie poświęcenie. Zrobił z niej swą prywatną niewolnicę. Zaszczuł jak psa. Zniszczył. Nie była sobą już od dawna. Stała się uległą i bezwiedną niczym bezwolna marionetka w jego krnąbrnych rękach. Upadła na samo dno moralne. Jej złość przelewała się gniewnymi strumykami myślowymi tworząc istną kaskadę wściekłości na swą własną głupotę i bezradność. Trujący jad nienawiści emanował z niej niczym aura. Przesiąkał na wskroś.

Kroczyła szybkim i zdecydowanym krokiem do nikąd. Byle jak najdalej od niego. Ale nie miała gdzie iść. Znajdowała się na obcej ziemi. Nic jej tu nie trzymało. Nic nie należało do niej. Już nic. Nie miała swojego miejsca. Po prostu szła pogrążona w gniewie niczym burza piaskowa. Bez motywu, bez celu, emanując złością i frustracją. Gdyby była pogodą, już dawno grzmiałaby i trącała piorunami we wszystko i wszystkich, co znajdowało się na jej drodze. Nic nie miało tu znaczenia ani sensu.

Szary chodnik tętnił życiem. Stwarzał pozór normalności. Ludzie śpieszyli się. Obojętnie mijali ją w swym uporządkowanym i zaplanowanym co do minuty życiu. Wszyscy gdzieś szli. Do kądś dążyli. Wszyscy. Tylko nie ona. Samochody kolorowymi sznurami gnieździły się na śmierzących ulicach. Dusił ją ten dym. Szare miasto. Obdrapane bloki. Brunatne niebo. Istna strefa mroku. Nawet trawa nie była tak zielona jak w miejscu, które lata temu opuściła. Zdawałoby się, iż minęły całe wieki. Uliczny hałas i zgiełk doprowadzał ją do furii. Nienawisć do tego miejsca gotowała się w niej niczym kipiący wywar w kotle czarnoksiężnika, z którego wydobywają się śmiertcionośne opary.

Opuszkciem palca poprawiła czarne okulary zakrywające oczy i pół twarzy. Z ponurą miną i zaciśniętymi wargami przeczesala palcami krucze włosy odklejając je od skóry głowy. Znów spuściła spojrzenie zerkając na swe stopy oplecione skórzanymi paskami z ćwiekami błyszczącymi w przymglonym słońcu szarego dnia. Zaczęła nerwowo szukać czegoś w torbie przestając zwracać uwagę na świat wokół niej. Wreszcie w jej dłoni pojawił się wąski papieros. Schwyciła ustnik wargami lekko zaciskając je na dymiącym już patyku.

Nikotyna rozkosznie wypełniła płuca przenikając do krwi, która krążyła w żyłach z prędkością pociągu pośpiesznego. Napięcie wzrastało z każdą chwilą. Kiedy wreszcie coś się stanie? Kiedy ta szara rzeczywistość odmieni jej nudne, utracone życie? Emocje zatruwały umysł swym jadem.

Chowając zapalniczkę i wciąż grzebiąc w torbie wkroczyła na jezdnię. Nie zwróciła nawet uwagi na światło sygnalizatora ulicznego, które razilo ustrzegającą czerwienią. Ktoś krzyknął. Lecz zanim dotarło do niej, że znajduje się na jezdni, usłyszała ryk silnika zbliżającego się do niej. Zatrzymała się w przestrachu odwracając głowę w lewo, skąd dochodził coraz bliższy jej uszom dźwięk. Była rozkojarzona. Nim zauważyła, że coś mknie w jej stronę rozległ się pisk opon i a w nozdrza uderzył swąd palonej gumy na asfalcie. Poczula ciepło. Siłę tarcia. Coś śmignęło obok niej. Pchnęło w tył. Zachwiała się. Upadła uderzając łokciem o nawierzchnię jezdni. Siła grawitacji sprawiła, że jej ciało bezwiednie przyciągnęła jezdnią, zupełnie jakby stała się jakimś rodzajem żywego magnesu.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Mroczki wypełniły umysł. Słyszała jedynie bicie własnego serca i oddech wydobywający się z płuc. Nic pyzaty. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Po chwili znów widziała i reagowała na rzeczywistość obserwując dalszy przebieg wydarzeń. Motocyklista, któremu wskoczyła pod koła wymijając ją wpadł w poślizg i slalomem sprytnie ją oszczędził sam upadając na jezdnię w piekielnym tańcu metalowego wierzchowca, który teraz wił się po nawierzchni niczym wąż ciągnący za sobą swego jeźdźca. Z toczącego się bezwładnie motoru leciały iskry. Samochody również brały udział w tym upiornym tańcu. Koła piszczwały. Auta trąbiły klaksonami wygrywając salwy raniącej uszy melodii niczym wyjący do księżycy drapieży.

Metalowe bestie szybko jednak opuściły ulicę mknąc dalej. Nikt się nie zatrzymał. Nikt nie chciał brać odpowiedzialności. Wokół nie było kamer. Żadnego monitoringu. Świadków w zasadzie też. Nagle świat stał się pusty. Ulica nie była zbyt ruchliwa o tej porze dnia, lecz spokój i cisza, które teraz nią zawładnęły stały się nienaturalne. Nagła kakofonia dźwięków umilkła, a świat stał się pustym i cichym widmem rzeczywistości. Jedynie wiatr poruszał gałązkami drzew, które cichutko szumiały.

Motocyklista, nim jeszcze rzeczywistość zamarła niczym w niemym filmie, zatrzymał się kilkanaście metrów dalej na krawężniku pasa zieleni przelatując lekko nad powierzchnią ziemi i drugiego pasa jezdni. Szybko jednak zdążył poderwać się z miejsca, w którym został rzucony porażającą siłą pędu. Ona nie miała siły. Wciąż leżała. Zdawało jej się, że ziemia nadal przyciąga ją do siebie. Ciało stało się sztywne i ciężkie.

Motocyklista tymczasem zwinnie przeskoczył przez zniszczony motor oraz fragmenty stłuczonych lusterek i plastikowych części zerwanych z rumaka, które teraz przypominały rozrzucone domino. Biegł w jej stronę. Obite metalem głany uderzały ciężko o suchy asfalt zakurzonej jezdni do której przylegała. Nie widziała jego twarzy. Miał na głowie czarny kask. Przez podpalaną szybkę nie mogła dostrzec jego spojrzenia.

- Może pani wstać? – Spytał głośno rzucając się przed nią na kolana i nachylając nad kobietą.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami nie mogąc wydobyć najmniejszego słowa. Jakby jeszcze nie dotarło do niej, że właśnie zdarzył się wypadek, a ona nie jest jednym z gapiów, lecz sprawcą i jednocześnie ofiarą cyklonu, który wywołała. Była w mocnym szoku.

– Nic pani nie jest? Jest pani przytomna? – Spytał wyciągając do niej dłoń w skórzanej rękawiczce, a ona odruchowo się przytrzymała, gdy pomagał jej wstać.

Rzuciła coś pod nosem. Wymamrotała kilka niezrozumiałych słów. Mimowolnie dała się przeprowadzić przez ulicę do bezpiecznego miejsca na chodniku. Znów sygnalizator zaczął ostrzegać swymi barwami. Znów pojawili się ludzie i samochody, które

wymijały porzucony motor. Ludzie z zaciekawieniem patrzyli na nich. Ale nikt nie podszedł. Nikt nie spytał, czy nie potrzebują pomocy.

- Zobaczę, czy uda mi się odpalić motor i zawiozę panią do szpitala. – Usłyszała wreszcie chropowaty głos spod kasku.

- Nie. Nic mi nie jest. Przepraszam. Nie widziałam, że jest czerwone. – Rzuciła patrząc z zażenowaniem na rozszarpane spodnie mężczyzny, spod których sączyła się krew.

To raczej on powinien trafić do szpitala. Nieźle przejechał kolanem po jezdni. Zastanawiała się jak to możliwe, że tak szybko zareagował. Podniósł się jak gdyby nic takiego się nie stało i od razu do niej podbiegł.

- Jest pani ranna. Proszę poczekać, zaraz zobaczę, czy uda się go jeszcze odpalić i pojedziemy.

- Ranna? – Spytała i dopiero wówczas zauważyła, że jej łokieć jest zdarty i również krwawi. Zakreśliło jej się w głowie. – To tylko zadrapanie. Nic mi nie będzie. Muszę usiąść. Trochę mi niedobrze. – Powiedziała opierając się o drzewo. – Przepraszam za motor. To moja wina.

- Zaczekaj. – Rzucił zdecydowanym tonem zostawiając ją na trawniku obok jezdni.

Ktoś pozbierał jej rzeczy rozsypane na pasach i na powrót włożył do torebki, którą wepchnął w jej dłoń pytając z troską czy wszystko w porządku. Przytaknęła. Przechodnie zostawili ją więc w spokoju. Zamaskowany człowiek w skórze na ramionach podnosił tymczasem Hoppera z jezdni. Wyglądał jej na jakiegoś metalowca. Choć może nie tyle on, co sam strój, bo twarzy jak dotąd nie widziała.

Motor był zniszczony. Nie był to opływowy ścigacz, na którym piraci drogowi prują jezdnię ścigając się z wiatrem i popisując jazdą na jednym kole. Motor był elegancką i statyczną bestią. Był, bo teraz wyglądał jak przed wycieczką do kasacji. Wszystkie lampy były roztrzaskane. Lewe lustro wisiało pod złamaną i wygiętą kierownicą. Prawego wcale nie było. Karoseria była powgniatana i obdrapana. Niegdyś dumny pojazd, teraz wyglądał żałośnie. Nadal jednak nie odmówił posłuszeństwa swojemu jeźdźcowi, który

podjechał powoli pod trawnik przy jezdni. Samochody jadące tym pasem wymijały zaparkowany przy krawężniku motor. Kobieta siedziała pod drzewem. Zbierało jej się na wymioty.

- Chodź. Jedziemy. – Rzucił schodząc z motoru.

- Nic mi nie jest. Nie chcę jechać do szpitala. – Odparła.

- Cieszę się, że nic ci nie jest, ale może niech lekarz na wszelki wypadek rzuci na ciebie okiem. Uderzyłaś czaszką o jezdnię. Możesz mieć wstrząs mózgu.

- Naprawdę czuję się dobrze. Moja czaszka też. Strasznie chce mi się spać. Czuję się zmęczona. To wszystko.

- Ale jesteś uparta. Podnieś się. – Rozkazał chwytając ją za dłonie i pomagając wstać.

- A ty upierdliwy. – Odparła z lekkim dąsem.

- Jak nie chcesz, to nie zawiozę cię do szpitala, ale chyba nie myślisz, że cię tu zostawię?

- Nie? – Zamyśliła się. – A no tak. To moja wina. Wlazłam na ulicę. Masz rozwalony motor i krwawisz. Pewnie chodzi o jakieś ubezpieczenie, tak? W sumie to zniszczyłam ci motor. Nie wiem jak to się załatwia. – Paplała bez sensu. – Gdybym była kierowcą, szkodę pokryłby mój ubezpieczyciel.

- Dobra, nie wygłupiaj się. – Przerwał wywód. - Trochę u mnie posiedzisz zanim nie dojdiesz do siebie. Ale jak zaczniesz rzygać, nie będziesz miała nic do gadania, bo zapakuję cię siłą na motor i zawiozę na izbę przyjęć. Jak ci przejdzie i dojdiesz do siebie, odwiozę cię z powrotem do domu, czy gdzie tam szłaś. Pasuje? – Rzucił bez owijania w bawełnę dość szorstkim językiem, który miał ją wyrwać z zamyślenia i amoku, w którym trwała. Nie było to nawet tyle pytanie, co stwierdzenie, bo nie dając dojść jej do słowa poprowadził do pojazdu i sadzając na motocykl po prostu ruszył.

Nie jechał szybko. Złapała go mocno w pasie. Nigdy nie siedziała na takiej bestii. Wprawdzie sprzęt był mocno zdezelowany, ale wciąż dumnie błyszczał, a silnik pracował bez szwanku. Wiatr rozwiewał jej włosy i wysuszał spojówki oczu, lecz mimo to patrzyła jak suną jezdnią, a wiatr we włosach i jazda bez kasku dawały wrażenie lotu. Znowu znajdowała się w obcym miejscu. Z mężczyzną którego twarzy nawet nie widziała, a mimo to w jakimś stopniu ich drogi na chwilę się splotły. To nie miało sensu. Ale jazda była przyjemna. Napawała ją świeżością i poczuciem wolności. Mogła znaleźć się gdziekolwiek. Nie miała swojego miejsca. Jeszcze nie. Może stąd odjechać. Ale tak na zawsze. Nie teraz. Teraz jest na przejażdżce z nieznajomym. Lecz może opuścić to miasto. Zacząć wszystko od nowa. Nie jest tu z nikim ani niczym związana.

- Wolność! – Krzyknęła unosząc pięść w stronę nieba niczym dziecko cieszące się z przejażdżki, po czym znowu mocno się w niego wtuliła i wybuchła śmiechem.

Nie był to nawet tyle zew radości, co jakaś ulga. Paniczny śmiech, który miał wyładować atmosferę. Poczula zmęczenie. Zamknęła oczy. Nagła sytuacja sprawiła ogólne osłabienie. Może rzeczywiście miała wstrząśnienie mózgu. Chciało jej się spać. Mięśnie stały się zwiotczałe i ospałe.

Przejażdżka nie trwała długo, lecz na tyle, by zdążyć zupełnie ją osłabić i zmęczyć. Z żalem zauważyła, że silnik znacznie ścichł, a wiatr zupełnie zamilkł. Motocykl zatrzymał się w wąskiej, szarej uliczce przy której znajdował się szereg obdrapanych i starych budynków. Mężczyzna zszedł z motoru i podając jej rękę pomógł przejść podprowadzając do zielonego płotu. Otworzył furtkę. Rdza sprawiła, że rozległo się skrzypienie. Wskazał dłonią, by szła dalej, a on wrócił po motor i zaprowadził go gdzieś z tyłu pod wórka za budynkiem. Po chwili wrócił. Czekwała przed schodami zerkając z ciekawością w górę. Mężczyzna ścisnął w dłoniach klucze od mieszkania.

Weszli po metalowych schodach oplatających niski, mały budynek. Przekroczyli próg. Znaleźli się w środku. Nadal miał na sobie „maskę”. Nie widziała jego oblicza. Milczeli. Lecz było to bardzo przyjemne milczenie. Nikt od niej nic nie chciał. Nie miała już żadnych spraw. Była wolna. Mentalnie już rzuciła to miejsce. Porzuciła wszystko. Nie miała nic do załatwienia. Po prostu odejdzie i nikomu nic nie będzie tłumaczyć. Nie musi. Nie chce. Miała już wszystkiego dosyć. Znowu zacznie od nowa. Od teraz. Od zera.

Przestała odczuwać frustrację i gniew na myśl o nowym początku. Nowym rozdziale. Optymizm nagle wbił się w jej zmęczony umysł. Umysł wykończony tym miastem i ludźmi. Umysł na nowo wolny.

- Wejdz. – Zagadną, gdy nieśmiało zaglądała do środka.

Od wejścia poraził ją przytłaczający burgund oblewający ściany. Istna jaskinia mroku. Kolor może i nie należał do spokojnych i wyciszających, ale w tym przypadku wyciszał. Sprawiał wrażenie jakby znalazła się w zupełnie innej rzeczywistości. Tu było oryginalnie oraz nastrojowo, a za razem tak cicho i spokojnie. Zdjęła buty. Przeszła do pokoju dziennego. Na mahoniowej futrynie wisiały metalowe dzwonki, jakieś monety, albo medaliony oraz kadzielnica zawieszona na łańcuchach. Okrągła metalowa puszka opleciona żeliwnymi różami, z której sączył się kojący zapach. Całe pomieszczenie było nim przesiąknięte.

W środku mieszkanie wyglądało znacznie lepiej niż na zewnątrz. Urządzone w starym stylu. Drewniane klepki na podłodze. Oryginalne drewniane szafy z rzeźbieniami. W centralnym punkcie pokoju pod oknem stało ogromne łóżko sypialniane przykryte czerwonym kocem. Narzuta była puszysta niczym sierść perskiego kota. Znajdował się tu też kominek. Wszędzie były świece. Czarne i długie, lub też krótkie i zapachowe. Rozstawione w fikuśnych świecznikach lub na metalowych podstawkach. Spod sufitu zerknęły barwnie orientalne łapacze snów. Na podłodze stała kula, z której sączyło się światło. Należała do tych oryginalnych lampek, w których światło krąży strumykami niczym małe pioruny rozchodzące się wyładowaniami po szkłe. Żaluzje były zasunięte. Panował tu przyjemny półmrok i chłód, który dawał ukojenie podczas, gdy na zewnątrz z przymglonego nieba lał się skwar. Jej uwaga skupiła się również na perkusji i gitarze elektrycznej stojących w kącie. Lecz to, co najbardziej przyciągnęło jej wzrok to istna biblioteka, którą zgromadził. Stare książki znajdowały się na niemalże każdej z półek.

- Siadaj. Zaraz nastawię wody na herbatę. – Powiedział lekko ją popychając do wejścia, zaś sam zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

Zauważyła, że rozpiął kask. Wreszcie zobaczy z kim ma do czynienia. Jaka facjata kryje się pod tym lekkim kamuflażem okrywającym mężczyznę mgiełką tajemniczości. Zamaskowany. Niewidoczny. Mieszkający w jaskini mroku.

Weszła. Było cicho. Stało tu tylko jedno krzesło. Przy biurku od komputera. Usiadła zatem na łóżku. Koc był strasznie miękki i przyjemny w dotyku. Położyła torebkę obok podciągając pod siebie nogi. Za jej plecami leżały atlasowe poduszki wyszywane hinduskimi wzorami. Zupełnie jakby przeniosła się do jakiegoś indyjskiego mini królestwa. Pomyślała, że tylko sprawdzi czy poduszki są takie miękkie i wygodne na jakie wyglądają. Oparła głowę na pościeli czekając na niego. Była taka zmęczona. Ziewnęła. Zamknęła oczy. Cisza wdarła się w jej umysł. Łagodna cisza. Przyjemna woń mieszkania przesiąkniętego kadzidłem. Nieznane, nowe miejsce. Wolne od zobowiązań. Wolność. Leniwie spojrzała w stronę otwartych drzwi. Powieki były coraz cięższe. Tak ciężkie, jakby znajdował się pod nimi piasek. Znów zamknęła oczy. Zamknęła umysł. Usnęła.

Gdy na powrót je otworzyła, w pomieszczeniu było ciemno. Jedyne szklana kula rzuciła półmrokami jasności. Jej ciało było lekkie. Odprężone. Umysł niezwichrzony. Sny jeszcze na dobre nie opuściły jaźni. Nie pamiętała co jej się śniło, ale były to przyjemne i kolorowe obrazy podróży napawające ją spokojem i rozluźnieniem. Było jej dobrze. Tak po prostu. Tak zwyczajnie.

Uniosła głowę rozglądając się po ścianach. Początkowo myślała, że jest sama. Było bardzo cicho. Ale on tam był. Siedział przy ekranie monitora. Nadal nie widziała jego twarzy. Jedyne obrazy wyświetlane na powierzchni ekranu. Coś czytał. Przeglądał strony internetu.

Postać siedząca kilka metrów od niej na pewno była nim. Na ramiona spływały długie jasne włosy, ale barczyste ramiona i strój świadczyły o budowie męskiego ciała. Biała koszulka opierała się o ciało przylegając do niego. Nie miał już na sobie skórzanych spodni, lecz dżinsy.

- Już nie śpię. – Powiedziała cicho unosząc się z pościeli i lekko opierając o poduszki usiadła.

Odpowiedziała jej cisza. Siedział jak zahipnotyzowany. Wpatrywał się w monitor. Nie odwrócił głowy. Nie spojrzał na nią. Cisza zaczęła syczeć. Była dziwna. Nagle coś się poruszyło. Jakiś szmer. Lecz nie rozchodzący się z miejsca, w którym siedział. Gdzieś indziej. Dźwięk niewiadomego pochodzenia. Co to mogło być? Nie zwracał uwagi ani na nią, ani na szelest.

Coś poruszyło się na szafie. Spojrzała w górę. Nic tam nie było. Lecz nie widziała co znajduje się pod sufitem. Szmer stał się wyraźniejszy.

Niespodziewanie czarna kula spadła spod sufitu wprost na jej nogi. Odbiła się od nich i pobiegła dalej. Włochata, dziwna kula, która sprawiła, że ciarki przeszły jej po plecach. Zadrżała. Nie spodziewała się, że z szafy zeskoczy nagle mała bestyjka. Kot przebiegł przez łóżko i znikł na podłodze pod jego nogami.

Lecz w momencie, gdy zniknął z oczu, inny dźwięk wypełnił pomieszczenie. Ten był znacznie intensywniejszy. Istne domino odgłosów. Nieznanych jej dźwięków obcego miejsca. Trzepot skrzydeł. Nagły podmuch uderzający w jej twarz. Skrzek.

Odwróciła twarz. Obok łóżka stała sporych rozmiarów klatka. Nie widziała jej wcześniej. Czarne ptaszysko wystraszyło się kota. Machało skrzydłami uderzając nimi o pręty. Nie był to żaden egzotyczny ptak. Przypominał kruka, gawrona albo wronę. Nie znała się na ptakach. Był pospolity.

- Jestem tu! Wciąż tu jestem - Rzuciła głośnie.

Mężczyzna jednak nadal nie zareagował. Ani na jej głos, ani nawet na poruszenie ptaka w klatce, który przestał już objąć się o ścianki i na powrót siedział spokojnie na żerdzi.

- Słyszysz mnie? – Spytała podnosząc się z łóżka i niepewnie robiąc kilka kroków w przód.

Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że on jest martwy. Może pękła mu czaszka? Może upadek z motoru wcale nie był taki niegroźny? Z obawą zbliżyła się do niego. Delikatnie położyła dłoń na ramieniu. Bała się zajrzeć w jego oczy. Chciała żeby się obrócił w jej stronę, ale jednocześnie myśl o ujrzeniu jego martwego oblicza przyprawiała ją teraz o niepokój. Co takiego może zobaczyć, co sprawiłoby, że jej serce nienaturalnie się zatrzyma, lub też zacznie bić tak szybko, jakby miało wyskoczyć z niespokojnych piersi?

Odetchnęła z ulgą widząc, że mężczyzna wyjmuje słuchawki z uszu. Nie słyszał więc, gdy do niego mówiła. W głowie miał muzykę, której słuchał przez komputer. Teraz jednak jego uszy stały się na powrót otwarte. Odwrócił głowę, a ona zadrżała i otworzyła usta w zdziwieniu na widok jego twarzy. Nie takiego go sobie wyobrażała.

Był taki brzydki. Niewiarygodnie brzydki. Po prostu koszmarny. Trupioblada twarz. Naciągnięta sucha skóra ukazująca każdą kość. Strasznie chuda twarz. Wory pod oczami. Długi nos. Wąskie oczy. Dziwne oczy. Sprawiały wrażenie wytrzeszczu. Białka były lekko żółknięte. Twarz zdawała się zapadnięta do środka. Jakby patrzyła na jakiegoś szkieletora pozbawionego mięśni, a nie na człowieka.

- Życzy sobie pani, bym na nowo założył kask? – Spytał z lekką nutą sarkazmu w głosie patrząc z rozbawieniem na jej reakcję.

Zrobiło jej się głupio. Bardzo głupio. Na twarzy rozkwitły rumieńce. Nie wiedziała co powiedzieć. Nie chciała się na niego gapić. Nie zdawała sobie sprawę z tego, że aż tak mu się przypatrywała. Najwyraźniej obrzydzenie musiało malować się na twarzy. Lecz już po chwili przestał ją brzydzić. Miał ciepłe spojrzenie i przyjemny uśmiech. Może i było coś okropnego w tym wyglądzie, lecz miał też urok. Jakiś wewnętrzny blask i spokój, które emanowały od niego. Nagle zapragnęła dotknąć tych długich, jasnych włosów. Coś przyciągało ją do tego odpychającego obcego.

- Mój telefon nie dzwonił? – Spytała puszczając jego ramię.

- A jakże. Dzwonił. Cały czas. Musiałem go wyłączyć. Leży tam. – Wskazał na szafkę obok. – Jedna osoba strasznie wydzwaniała. Ale pomyślałem, że to nic ważnego i nie muszę cię budzić. Dzwonił tylko jakiś chuj. – Dodał po chwili z sarkastycznym uśmiechem i zaciekawieniem.

Nie miał bynajmniej nic złego na myśli. W jego wypowiedzi nie było też ordynarności, gdyż mianowicie, taki właśnie wpis wyświetlał się pod numerem, który próbował się dodzwonić.

- Czarek. – Rzuciła w odpowiedzi bardziej nawet do samej siebie niż niego.

- Nie wiem. Wyświetlało się, że chuj, to wyłączyłem.

- Mój były.

- Hmm. – Podrapał się po brodzie wydając z siebie chropowate mruknięcie. - Może i były, ale wydzwaniał jak obecny. Jakby miał jakąś obsesję na twoim punkcie.

- Bo ma. Ale już mi to zwisa. – Rzuciła z promiennym uśmiechem na myśl, że już nigdy nie odbierze.

Nie ma zamiaru z nim rozmawiać. Nie jest mu nic winna. Żadnych wyjaśnień. Po prostu odejdzie. Zostawi go. Nic mu nie zawdzięcza. Zniszczył ją. Nie będzie mu nic wyjaśniać ani się tłumaczyć. Koniec nic nie dających rozmów. Już nie ma nad nią żadnej mentalnej kontroli ni władzy. Wymaże go z pamięci jakby nigdy go nie było. Zapomni. Nie będzie trudno. W zasadzie już zaczęła zapominać. Nie chciała pamiętać.

- Po co ci te ordynarne czaszki? – Spytała po chwili rozglądając się wokół i dostrzegając dziwne rzeźby.

- A tobie po co ta ordynarna czaszka? To samo masz pod skórą. Nie wiem co w tym ordynarnego. – Odparł uśmiechając się do niej.

Nie miał górnej jedyńki. Może stracił ją podczas koziolkowania po jezdni, a może jeszcze wcześniej. Twarz nie była obdrapana. Żadnych śladów krwi ani świeżych strupów.

- Ale jesteś mroczny. – Odparła mając na myśli jego odpowiedź, a nie usta. – A co to ptaszysko?

- Kawka. Miała złamane skrzydło. Nie mogła latać. Znalazłem ją niedaleko domu i szkoda mi się zrobiło. Ale dochodzi do siebie. Niedługo zamierzam ją wypuścić.

- A już myślałam, że to tak na stałe.

- Może zrobię ci coś do picia? – zaproponował. – Tak długo spałeś, że dawno już nie ma tej herbaty.

- Nie trzeba. – Odparła sięgając po kubek stojący przed nim.

Kawa była do połowy wypita. Jeszcze ciepła, choć słabo. Pociągnęła łyka. Nieco zbyt słodka, ale nie była zła. Wciąż wpatrywała się w niego pijąc z jego kubka. Wiedziała, że było to strasznie bezczelne z jej strony, ale mężczyzna nie zareagował w żaden sposób. Zbyt dużo czasu była poprawna. Nagle poczuła się swobodnie. Nie skrepowana niczym. Zupełnie niczym. Ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Wygodnie się spało? – spytał z szerokim uśmiechem wpatrując się w nią.

- Bardzo. Masz wygodne łóżko. Dzięki, że mnie przykryłeś. – Stwierdziła rzucając spojrzeniem na brązowy koc w bordową kratę.

- Dobra, to zrobię sobie, skoro ty już masz. – powiedział wstając z krzesła i pociągając za sobą słuchawki, które wyskoczyły z otworu w jednostce centralnej.

Muzyka wypełniła pomieszczenie. Mocne dźwięki. Ciężkie. Ale i energetyczne. Mocarne męskie głosy. Klimat świeżości i wolności, który od jakiegoś czasu zawładnął jej osobą. Muzyka emanowała siłą i niezwykłą energią.

- Co to? – spytała przekrzykując wokalistów.

- Kamelot.

- Niezłe.

- Z albumu The Black Halo.

- Podoba mi się. – Stwierdziła odkładając kubek i zaczynając kołysać się i poruszać w takt muzyki.

- Czy ty na pewno dobrze się czujesz? – Spytał podnosząc się z miejsca.

Był wysoki. Dopiero teraz to zauważyła. Bardzo wysoki. Przewyższał ją o dwie głowy. Ale też strasznie chudy. Objętościowo wcale nie był taki wielki mimo olbrzymiego wzrostu. Lecz ona też nie należała do niskich osób.

- Świetnie się czuję. – Rzuciła coraz mocniej się kołysząc. – Jak nigdy. – Dodała zwijając się i prężąc, przy czym mocno zarzucała włosami kręcąc głową.

Wciąż się w nią wpatrywał tymi nienaturalnie wybałuszonymi oczami. Oglądał ją z ciekawością, lekkim rozbawieniem, ale też i delikatną troską malującą się na tej brzydkiej twarzy, która emanowała jakimś wewnętrznym ciepłem i niewinnym urokiem.

- Nie musisz być taki sztywny. – Uśmiechnęła się zalotnie kładąc mu dłoń na piersi i wciąż podrygując wokół niego.

- Wijesz się jak jakaś zmija. – Stwierdził wesoło, co nie było ani zniewagą, ani też komplementem.

Był jedynie lekko zaskoczony jej zachowaniem, ale patrzenie na nią sprawiało mu również przyjemność. Zdawał się być nawet oczarowany. Jej obecność najwyraźniej była dla niego czymś w rodzaju odwiedzin koleżanki. Był zadowolony. Nawet promienny.

- Wiesz, co jest najlepsze? – Spytała kręcąc się w kółko.

- Co takiego?

- Że nawet się nie znamy.

- Chętnie się zapoznam. – Odparł patrząc na jej wygibasy.

- Po co? – Roześmiała się. – Niedługo mnie tu nie będzie. Nie musimy stwarzać żadnych pozorów. Nie musimy nic udawać.

- Cóż za nowatorskie podejście do życia. – Stwierdził z zadumą wciąż nie odrywając od niej wzroku.

- Naprawdę sympatycznie się tu urządziłeś. – Zauważyła wciąż lekko się kołysząc i obchodząc pokój. Dotykała półek z książkami przeciągając dłonią po papierze. Czytała tytuły i nazwiska autorów.
- Koontz, King, Lumpley, Kossakowska, Christie Golden, Sapkowski. Niezły z ciebie autentyk. Ciężkie.
- Ciężkie? – Spytał marszcząc czoło. – Lekkie. Czyta się jednym tchem.
- Miałam na myśli, że mocne. Lubisz motocykle? – Spytała biorąc do ręki mały model stojący na jednej z szafek.
- Harley Davidson. Marzenie. Może kiedyś będę miał nieco większy. – Uśmiechnął się w zadumie.
- Grasz na perkusji? – Wciąż wypytywała rozglądając się z ciekawością.
- Jak widać.
- Jezu! Jesteś satanistą? – Wyrwało się jej na widok pentagramu zawieszzonego pod sufitem w centralnym punkcie pokoju.
- A co? Bała byś się? – Spytał z sarkastycznym uśmiechem na twarzy.
- A ty się mnie boisz?
- Może trochę. – Rzucił tajemniczo.
- Dlaczego?
- Nie co dzień goszczą u mnie kobiety.
- Przeraza cię moja płęć?
- Trochę. – Przyznał lekko speszony.

Uśmiechnęła się widząc, że podoba się mu.

- Mnie jakoś nie przerażasz. Jesteś dziwny. Jak masz na imię? – Oparła się o biurko na którym stał monitor. – Chyba masz jakieś.

- Aleksander.

- O, Aleksander. Jak Aleksander Macedoński? Twoje imię ma bardzo ciekawą historię.

- Niekoniecznie. Ale nie jest to moje prawdziwe imię. – Rzucił z przekorą.

- O, naprawdę? – Odparła lekko z nim flirtując i zagryzając wargi. – To jak mam do ciebie mówić?

- Na imię mi Legion, bo jest nas wielu.

- To chyba powinniście dostawić dodatkowe łóżko. – Odparła z rozbawieniem.

- Widzę, że nie udało mi się ciebie przestraszyć. – Odparł zerkając na monitor, po czym znów spojrzął na nią z nieśmiałością. - Jak widać Macedoński jest w tym wcieleniu bojaźliwym Aleksandrem. Nie podbiłem połowy świata ani nawet połowy kobiecego serca.

- Za to interesujesz się satanizmem i jesteś kolejnym wcieleniem Szatana. – Parsknęła ironicznie. - Zupełnie pozbawiony wszelkich zasad. Zły i zniszczony do szpiku kości. Zgadłam? – Kokieteryjnie zatrzepotała rękami wpatrując się w jego oczy.

- No, może nie tak do końca. Pozatym zależy co masz na myśli mówiąc zły. Najpierw trzeba by pokusić się o definicję zła.

- A jaka jest twoja? – Spytała.

- Cóż, zło i dobro większość ludzi traktuje jako pojęcia obiektywne. – odparł marszcząc brwi i zaczynając wywód. – Na przykład słowo *piękny* w starożytności oznaczało *dobry, szlachetnie urodzony* itp. Także, to jest kwestia postrzegania. Bo dobro i zło, to tylko

pojęcia, które można różnorodnie rozumieć. W rozumieniu subiektywnym można różnie traktować zło. Co dla jednego złem, dla innego będzie dobrem. Albo na przykład morderstwo.

- O, widzę, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. – Przerwała mu. - To co z tym morderstwem? Dobre, czy złe?

- Niby złe, ale... – Zawahał się. - W czasie wojny polskie pielęgniarki zabijały niemowlęta w szpitalach, co uznaje się za symbol poświęcenia, patriotyzmu i dobrego serca. Takie mniejsze zło. Zabijały, by niemowlęta nie cierpiały. Także dla mnie nie ma czegoś takiego jak sztuczny podział na dobro i zło, czerń i biel. Wszak są jeszcze odcienie szarości.

- Popapraniec z ciebie. – Rzuciła bez owijania w bawełnę. - Ale nawet mi się to podoba. Jesteś jakiś niemoralny.

- Co nie znaczy, że jestem zły. – Obdarzył ją kolejnym uśmiechem próbując wkupić się w jej łaski.

- Czego szukasz w życiu? – Wciąż go przepytывała jakby był na jakiejś spowiedzi lub przesłuchaniu.

- Mojej drugiej połówce. – Odparł drocząc się z nią spojrzeniem. – Pierwszą ktoś mi wypił.

- Zabawny jesteś. – Powiedziała przechodząc obok niego i dotykając jego torsu w taki sam sposób w jaki dotykała książek.

Zupełnie jakby był kolejnym eksponatem wartym obejrzenia. Stała za jego plecami znów zdejmując coś z regału i biorąc w dłoń.

- Tym sztyletem zabijasz swoje ofiary na czarnych mszach? – Kontynuowała wpatrując się w srebrną rękojeść z wyrzeźbionym smokiem.

- Nie chodzę na msze. Ani czarne ani białe. A bagnety zbieram z zamięłowania. Taka ekspozycja. Pasują tu. Są klimatyczne.

- Tak. Fajna ta twoja jaskinia. – Stwierdziła drapiąc się po łokciu. – A co to? – Spytała spoglądając z zaciekawieniem i lekką drwiną na naklejony plaster z wizerunkiem Myszki Miki.

- No co? – Speszył się. – Takie akurat były w sprzedaży . Ciesz się, że w ogóle miałem w domu apteczkę.
- Ale Myszka Miki? – Spytała nie oczekując odpowiedzi. – Co mi robiłeś jeszcze jak spałam?
- Nic.
- Jak to nic? To też nic? – Spytała wystawiając w jego stronę łokieć.
- Obmyłem ranę, połałem wodą utlenioną i nakleiliśmy plasterki. Wszystko. Ach, i jeszcze cię otuliłem kocikiem. – Wycodził ukazując szczelinę między zębami.
- To bardzo musiałeś być delikatny, skoro nawet mnie nie obudziłeś.
- Nie byłem. Spałaś jak zarżnięta. Mógłbym puścić muzykę na cały regulator, a i tak bym cię nie obudził.
- Za to teraz wreszcie czuję się wypoczęta. Mam ochotę zrobić coś szalonego, a ty? Dostyc mam już pozorów. Zauważyłeś, że człowiek przez całe życie wciela się w jakieś role? Gramy w teatrze życia. Wciąż coś udajemy. Stwarzamy pozory.
- Ale filozofujesz. Nie wiem. Nie myślałem nad tym. – Odparł prozaicznie.
- Ja też nie. Ale mam już dostyc pozorów. Mam dostyc sztywnego trzymania się ram wyznaczonych przez społeczeństwo. Rzygam poprawnością. Całe życie byłam poprawna. Nic z tego nie mam. Mam ochotę zrobić coś szalonego.
- Nieco mnie przerażasz. – Odparł zupełnie szczerze.
- To miło z twojej strony. – Stwierdziła z zadowoleniem. – To czemu tak boisz się kobiet?
- Nie wiem. Jakoś nie umiem zainteresować żadnej swoją osobą. – Zaczął jej się zwierzać. - Poza tym brzydki jestem. Chyba każda myśli, że chce się umawiać i od razu kopulować. Kobiety nie zwracają na mnie uwagi. Jakoś rzadko z nimi rozmawiam. Nie mam wprawy w flirtowaniu.

- Przesadzasz.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dramatyzujesz. Wygląd nie jest najważniejszy.

- Mówisz tak, bo jesteś ładna. Faceci pewnie walą do ciebie drzwiami i oknami. I nie oszukujmy się, jakbym cię nie potracił, nigdy w życiu by cię tu nie było.

- Ale jestem. – Rzuciła wpatrując się w jego trupioblada twarz i lekko zakrzywiony nos. - I nie potrąciłeś mnie. Na szczęście. Udało ci się mnie wyminąć. A jak tam twoje kolano? – Spytała z troską.

- Ok.

- Naprawdę?

- Tak, goi się na mnie jak na psie.

- Opowiedz mi coś o sobie.

- Nie jestem ciekawy.

- Ja to ocenię. Mów. – Spojrzała mu sztywno w oczy utrzymując hipnotyczne przyciąganie, któremu nie był w stanie się oprzeć.

- Kiedyś chciałem być księdzem. – Zaczął wywód z nostalgiczną nutą w głosie. - Byłem ministrantem. Później zmieniłem poglądy. Zważyłem. Przeszedłem jakąś przemianę. Oddaliłem się od tego wszystkiego. Świat jest pełny okrucieństwa i niesprawiedliwości. Wytatuowałem sobie dragona na plecach i założyłem kapełkę o nazwie Vanitas. Teraz daję koncerty, na których krzyczę o mroku, zamiast nauczać o Bogu.

- Kim jest dla ciebie Bóg? Jesteś takim upadłym aniołem? – Zaczęła mu się przyglądać z coraz większym zaciekawieniem i fascynacją.

- Bóg jest wielką mocą i siłą. Ale jakoś nie umiem z nim już rozmawiać. Stałem się człowiekiem małej wiary. Nie uważam jednak, że trzeba chodzić do kościoła tylko po to żeby go czcić. Nie trzeba być nawet katolikiem, by w niego wierzyć. Znam kilku ateistów i nie uważam żeby bili złymi ludźmi, a nawet mogę powiedzieć, że są dobrzy bo nie czynią zła tylko samo dobro, chociaż w nic nie wierzą. Każdy człowiek potrafi odróżnić dobro od zła, no chyba, że jest tak głupi, że nie.

- A przed chwilą mówiłeś, że dobro i zło są tym samym. Mylisz się w zeznaniach. – Parsknęła.

- Niekoniecznie. Kwestia postrzegania i nazewnictwa. Mówię tak, abyś mnie zrozumiała. Nie będę używał pojęć, których nie ma. Sam ich nie wymyślę. Niebo moralne nade mną, prawo moralne we mnie. – Rzucił cytatem, który dał pokaz głębi intelektualnej owego mężczyzny.

- Nie jesteś wcale taki zły. – Stwierdziła. - Masz w sobie bardzo dużo ciepła i jesteś niesamowicie inteligentny. Upadły anioł. – Zamyśliła się podchodząc do okna i wyglądając przez szybę.

W odbiciu widziała, że przypatruje się jej. Dostrzegła jego spojrzenie patrząc na granat nieboskłonu okalający podświetlone księżycem chmury, które zdawały się świecić fluorescencyjnym blaskiem.

- Twoja kolej. – Rzucił wciąż się na nią gapiąc.

- Na co?

- Na zwierzenia.

- Nie musisz nic o mnie wiedzieć. Jutro i tak mnie tu nie będzie.

- Ale teraz jesteś.

- Jestem. – Przyznała. – Sama już nie wiem kim jestem. – Dodała z nutą smutku płynącego w jej głosie. – Naprawdę nie wiem. Gdzieś się zgubiłam. Zatraciłam siebie w kołowrotku życia. Goniłam za czymś. Stałam się potulna i posłuszna. Przestałam myśleć o sobie. Teraz przyszedł czas, bym zaczęła odkrywać siebie na nowo.

- Lubisz być odkrywana powoli? Otaczać się mgłą tajemniczości? No tak, w końcu zakazany owoc smakuje najlepiej, ale ty przecież to wiesz.

- Odkrywana powoli? – Odwróciła się w jego stronę. – Ładnie powiedziane, choć zalatuje jakąś erotyką.

- Nie miałem na myśli twojej garderoby, lecz głębię intelektualną. – Odparł spuszczaając spojrzenie i lekko się czerwieniąc.

- Wiem. – Usiadła na łóżku podciągając pod siebie kolana. – Pokażesz mi ten tatuaż?

- Nie wiem. – Odparł droczącym głosem.

- Nie wiesz? Mam się prosić? – Udała zagniewaną.

- No nie.

- To pokaż.

- Jak chcesz, to sama zobacz.

Wyciągnęła do niego rękę. Wziął ją w swoją dłoń, a ona pociągnęła go, by usiadł obok niej na łóżku, po czym delikatnie zaczęła podciągać koszulkę w górę. Zdjęła ją z niego całkowicie. Był teraz do połowy nagi. Byli, bo na jego plecach pojawił się ziejący ogniem smok. Piękny, czerwony jaszczur obłany deszczem miniaturowych łusek. Tatuaż był dopracowany do najmniejszego szczegółu. Istne arcydzieło. Smok był taki prawdziwy. Wyglądał jakby rzeczywiście puszczał nosem ogień. Ogień, który sprawił, że poczuła ciepło dotykając jego skóry, w miejscu, gdzie pod naskórkiem znajdował się kolorowy tusz.

- Nie boisz się, że cię ugryzie? – Spytał odwracając do niej głowę, gdy jej dłonie wędrowały delikatnie po plecach mężczyzny podziwiając malunek.

- Jest świetny. – Odparła z zachwytem. - Ale nie wiem, czemu miałby gryźć. Nie robię mu nic złego. – Powiedziała składając pocałunek na ramieniu mężczyzny i kładąc się za nim. – Co oznacza?

- Smok?

- Tak. Niech zgadnę. Jesteś bestią. Stąd ten smok.

- Niezupełnie bestią. Fakt, smok kojarzony jest postacią szatana. Ale można smoka przypisać również do czegoś innego. Wiesz, że ubiór, w którym zwykło się ukazywać Draculę, nawiązuje według niektórych źródeł do szat właściwych Zakonowi Smoka?

- Ach, czyli teraz mam rozumieć, że wampirem jesteś?

- Może. – Odparł z poważną miną wpatrując się w jej oczy, gdy tak leżała obok niego.

- Jasne. – Rzuciła z sarkastycznie drwiącą miną. - Przecież wampiry nie istnieją.

- Takie z książek i filmów, co to piją ludzką krew żeby żyć i chowają się przed słońcem, które ich spala, skaczą po domach i rozplywają się w mroku, to na pewno nie, ale zależy co masz na myśli. – Odparł w odpowiedzi. - Kwestia postrzegania i interpretacji słów. Przypisywanie znaczeń do symboli. Wampir jako kochanek idealny? Jako twór myślowy? Symbol seksualności? – Rzucił półsłówkami pokazując jedynie tropy, lecz nie przedstawiając całościowej wizji. - Ponoć krew uzależnia.

- Wampir. – Szepnęła zamykając oczy i przekręcając się na drugi bok. – Kochanek idealny. Wiecznie młody. Romantyczny. – Cedziła głosem, który zdawał się mruścić. - Pojawia się nocą. Jego kły i pieszczoty sięgają punktów erogennych doprowadzając do wyzwolenia tłumionych pragnień. Nieskrępowany więzami obyczajności. Pojawia się tajemniczo. Gotowy spełnić najzarliwsze

pragnienia. – Otworzyła oczy kładąc mu rękę na kolanie. Wpatrywał się w nią głodnym spojrzeniem. Specjalnie go kusila. Bawiła się. Badała jego reakcje. – Boli cię? – Spytała masując koniuszkami palców kolano i udo.

- Nie. – Odparł, a na jego twarzy pojawił się mimowolny uśmiech zadowolenia.

- Czemu nie widać ich w lustrze? – Spytała wciąż nawiązując do filmowych wyobrażeń.

- A jak zobaczysz coś czego nie ma? – odparł pytaniem. - Wszak to tylko wyobrażenie. Wiatru nie widać, choć go czujesz. Powietrza nie ujrzysz, choć nim oddychasz. Wampir istnieje tylko w świadomości widza, który go dostrzega. Jest narzucony umysłowi. Nie ma nic wspólnego z fizycznością. Stanowi pewnego rodzaju projekcję. Z której strony na niego spojrzysz, takiego stosownie go ujrzysz. Wampir to wszak legenda wyśniona. Projekcja eteryczna.

- Och, więc tak naprawdę nie jesteś wampirem? – Spojrzała na niego z zawiedzionym wzrokiem. – Szkoda. Chciałabym kochać z wampirem. - Szepnęła.

- A czymże jest dla ciebie wampir? Czyż nie jest on sumą wszystkich twoich najskrytszych pragnień? – Mówił powoli i wyraźnie, a jego głos zaczął nabrzmiewać hipnotycznym tonem. - Zamaskowanym bytem, tak nieosiągalnym i nierealnym pragnieniem, że nie sposób go normalnie zaspokoić? – Ciągnął chropowatym tonem, który wzbudzał w niej pragnienie. - Wyzwolicielem, istotą na pół senną a na pół namacalną, tłumionym ja, które zepchnęłaś do okopów podświadomości i więzienia obowiązujących norm społecznych?

- Więc kim jesteś? – Spytała niewinnie zataczając kręgi na jego torsie i bawiąc się włoskami na klatce piersiowej.

- Bathorianinem. – Odparł unosząc jej dłoń do swego policzka i wtulając się w nią. – Dlatego nie wiem, czy powinniśmy cokolwiek zaczynać. Nie wiem czy tego właśnie chcesz. – Zakończył całując przegub dłoni i z powrotem odsuwając ją od siebie.

- Mam rozumieć, że naprawdę pijasz ludzką krew, czy jak? – Poderwała się z zaciekawieniem ze swojego miejsca.

Miała coraz większą ochotę na pieszczoty, a jego ostrożność i brak natarczywości tylko ją podkreślały. Usiadła za nim wtulając się w małowidło plujące ogniem i odgarniając długie włosy mężczyzny zaczęła delikatnie ssać skórę na karku.

- Aby wyzwolić się z krepujących więzów zwyczajów i zachowań trzeba je przełamać. Złamać tabu. Cóż może być silniejszym tabu jeśli nie mieszanka śmierci i krwi będącej symbolem życia? Krew to nie jest żadna relikwia. Łamiąc tabu wyzbywasz się lęku przed krepującą obyczajowością.

- Pokaż mi. – Szepnęła liżąc małżowinę uszną.

W odpowiedzi usłyszała jęknięcie rozkoszy. Zamknął oczy. Odchylił głowę. Pozwalał całować się po szyi. Wciąż siedziała za nim, lecz to mu nie przeszkadzało, by wtulić się w nią. Włożył dłoń w bujne włosy kobiety. Głaskać policzek.

- Na pewno tego chcesz? Nie będziesz miała odwrotu. Narkotyk smakuje. Ale żaden nie działa wiecznie, a uzależnia. Będziesz wiecznie czuła niedosyt. Staniesz się taka jak wampir. Nigdy już...

- Ciii. – Szepnęła kładąc mu dłoń na ustach. – Nie boję się.

Odwrócił się w jej stronę. Spojrzał głęboko w oczy. Milczeli. Uśmiechali się do siebie. Powoli zbliżył wargi do jej ust. Ale nie pocałował jej. Jeszcze nie. Delikatnie wodził dłonią po ramieniu. Dotykał szyi. Wtulił się w nią rozkoszując wonią włosów. Ocierali się o siebie napawając bliskością. Wreszcie kołysząc ją w swych ramionach złożył płomienny pocałunek na ustach. Rozwarły się pozwalając mu wić się w środku. Śliny mieszały się z sobą tworząc pajęczynę nieprzyzwoitych wyobrażeń seksualnych i nieziszczonych pragnień.

- Chcesz spróbować wampirzego seksu? – Szepnął przesuwając językiem po szyi.

- Tak. – Szepnęła drżąc.

- Są dwa rodzaje czynności znanych pod tą nazwą. W sumie to nawet trzy, ale ten ostatni więcej ma wspólnego z okultyzmem i czarną magią niż wampiryzmem. Pierwsza związana jest z ektoplazmą. Mowa o marzeniach sennych. Drugi to fetysz. Uzależni cię. Będzie ci mało. Wiecznie mało. Staniesz się prawdziwym wampirem. Nigdy nie będziesz w stanie w pełni się nasycić.

- Dziś jest pełnia. To chyba dlatego wampiry spać nie mogą. Uwielbiam ekscentryków. Uzależnij mnie. Właśnie tego teraz potrzebuję. – Odparła zdejmując z siebie bluzkę i kładąc się na łóżku.

Przywarł do niej swym ciałem. Czowała pulsującą w żyłach krew. Wyobrażała sobie jej woń i słodki aromat. Delikatnie ssąc jego szyję zaczęła zagryzać skórę. Włosy mężczyzny spływały na jej twarz. Przesunęła mocniej dłońmi po plecach wbijając w nie paznokcie i pozostawiając rysy. Westchnął ściskając ją i gładząc swym mokrym, nieprzyzwoitym językiem. Jego dłonie błądziły po zakamarkach jej ciała. Fragment po fragmencie pozbywał się fragmentów jej garderoby.

Wili się w miłosnych uściskach. Tańczyli niczym splecione z sobą węże ocierając się o siebie i delektując chwilą. Rozpalali się do czerwoności, a następnie przygasali. Dozowali przyjemność. Ich podniecenie sięgało zenitu. Pomieszczenie wypełniło się żarem. Żarem ich ciał, które emanowały istną lawą bezpruderyjności i braku jakichkolwiek zahamowań wynikających z podporządkowania normom i klatce etyki.

Gładząc i całując jej ciało schodził coraz niżej, aż wreszcie znalazł się na podłodze.

- Co robisz?

- Nastrój. – Odparł odchodząc od łóżka i zapalając świece, które rozpromieniły wnętrze pomieszczenia migotliwymi światełkami rozstawionymi w licznych miejscach.

Pokój drżał razem z nimi. Światła ganiały się z sobą. Blask bił pod sufit. Cienie krążyły między nimi. Nagi schylił się do szafki wyjmując z niej całą garść cieniutkich patyczków, które również rozstawił na talerzykach i w kadzielnicach. Zapalił. Niesamowicie eteryczna woń kadzidełek rozpląnęła się zniewalającym eterem rozlewając salwami orientalnej słodyczy. Dym wypełnił

pomieszczenie. Wokół tego niesamowitego wszechświata ich pragnień i zmysłowości stał on. Prawdziwy wampir otoczony mgłą marzeń i niespełnionego podniecenia.

- Zapalimy? – zaproponował kładąc się obok z paczką papierosów.

- W takim momencie chcesz palić? – spytała obserwując go z niemalże narkotycznym podziwem.

- Czemu nie?

Odpalił papierosa i podał go kobiecie. Położył popielniczkę na jej splocie całując brzuch i przesuwał po nim językiem. Westchnęła. Doprowadzał ją do szału. Kusił. Rozpalał i nie kończył. Dozował doznania. Wreszcie wsparł brodę na pięści kładąc się na brzuchu i zaczął palić wciąż nie odrywając spojrzenia od jej brzucha. Głaskał go niemal telepatycznie przeciągając wzrokiem po skórze.

- Zostaniesz na noc? – spytał całując dłoń kobiety.

- Myślałam, że to oczywiste. – odpowiedziała całując dłoń, którą gładził ją po policzku.

- Chcesz się może czegoś napić? Może jesteś głodna? – zapytał z troską.

- Trochę zaschło mi w gardle. Strasznie tu gorąco, chociaż, że nawet nie rozpaliliś w kominku.

- Zaraz ci coś przyniosę. – rzucił gasząc papierosa i wychodząc.

Gdy wrócił, trzymając w dłoniach wysokie szklanki z kolą wypełnione po brzegi kostkami lodu, ona siedziała na łóżku bawiąc się jednym z jego sztyletów. Podał jej szklanekę. Usiadł obok.

- Uważaj, żebyś się nie skaleczyła. – stwierdził z rozbawieniem w głosie.

- A co by takiego się stało jakbym się skaleczyła? – Odparła przekornie. – Nie chcesz spróbować mojej krwi? – Spytała gładząc swoje ciało zimnym ostrzem i czując jednocześnie podniecenie z zabawy.

Stal na jej ciele. Stal na jego ciele. Przeciągnęła sztyletem po szyi mężczyzny. Wodziła nim po splocie. Podniecało ją to. Dawało poczucie jakiejś władzy, kontroli. W każdej chwili mogła schować ostrze przebijając tkankę. Ciało było kruche. Łatwo było je rozciąć. Mogła to zrobić w każdej chwili. Bawiła się ludzkim ciałem nie mając szacunku dla żadnej relikwii. Krew to krew. Nie ma w niej świętości. To tylko splot żył. Materialność. Mogła w każdej chwili przekroczyć granicę. Złamać tabu. Skosztować zakazanego owocu. Zrobić coś innego, wyjątkowego, coś, czego normalni i szablonowi ludzie, uwięzieni w kajdanach pruderyjności, nie robią.

- Tym, to tylko możesz zrobić sobie krzywdę. – Rzucił chwytając za rękojeść i odrzucając nóż w drugi koniec łoża.

- Chcę twojej krwi. – Jęknęła wyginając plecy i w napięciu podrywając się ku niemu z wyprężoną dumnie klatką piersiową.

- Połóż się. – Rozkazał kładąc jej dłoń nad piersiami i delikatnym pchnięciem położył ją pod sobą.

Zdjął z nogi bandaż chroniący stłuczone kolano. Zakończeniem sukna gładził jej ciało.

- Zamknij oczy.

Zamknęła. Lecz mimo to czuła rozpromieniający pomieszczenie blask świec. Delikatne smagnięcia na swym ciele niczym ocierające się o nią skrzydła motyla. Delikatne i subtelne. Krążyły po niej. Ułożył jej dłonie za głowę, po czym lekko związał bandażem. Całował usta. Pieścił ją swym językiem, który przejechał po wgłębieniu pachy sprawiając, że zadrżała. Lizał mleczo-blade piersi i brzuch, a ona spod zamkniętych powiek wyobrażała sobie tylko jego członki oplatające ją. Skupiła się na doznaniu. Drżała. Jęczała z rozkoszy, gdy zanurzał wargi między udami ssąc coraz mocniej i bawiąc się palcami w jej wnętrzu. Oddech wypływał z niej salwami gorącego powietrza podrywającymi falujące z rozkoszy ciało. Nie było miejsca, którego by nie skosztował począwszy od delikatnych pocałunków składanych na powiekach, a skończywszy na lizaniu łydek i stóp. Nigdy w życiu nie czuła

czegoś takiego. Pochłaniał ją wszystkimi zmysłami, a woń kadzidła zmieszana z blaskiem świec dodawała uroku dekadencji owej, niesamowitej chwili.

- Wampirzy seks jest najdelikatniejszym na świecie. To gra pozorów. – Szeptał chropowatym głosem całując jej szyję. – Gra cienia i światła. Maskarada. Kuszenie. Delikatność. Eteryczność. – Syknął wgrzyzając się lekko w skórę, lecz nie przegryzając jej. – Wampir to kochanek idealny. Jego urok polega na tym, że tak naprawdę nie istnieje. Może być taki, jakiego sobie wyobrazisz i wyśniesz. – Szeptał roztaczając i pogłębiając mroczną atmosferę tajemniczości.

- Rozwiąż mnie. – Westchnęła cichutko dysząc ciężko i przyciągając ku sobie dłonie.

Ssąc jej dłonie zerwał zębami lekki supełek. Uwolniona zachłannie przyciągnęła go ku sobie wbijając w niego paznokcie. Jęknął z bólu, ale i rozkoszy wywołanej jej podnieceniem i magnetyczną siłą drgającego niczym lutnia ciała.

Grał na tej pięknej harfie przeciągając dłońmi po ciele i szarpiąc struny. Lawa pożądania oblewała ich sprawiając, że napięcie nie mogło znaleźć ujścia wypełniając ich pożądaniem.

Krzyknęła rozszarpywana rozkoszą zmysłowości. Oddychała nim. Wyzbyła się swej obyczajowości. Została skażona. Rozdrapując skórę na piersi swego mistrza i pana tajemniczości otoczonego wampirzą mgłą, zlizywała z niego słodki nektar sączący się stróżkami z jego ciała naznaczając go pręgami bezpruderyjności.

Rozpiął nad nią swe ramiona niczym krzyż, a ona zawisła pod nim kosztując krwi i jego męskości. Słodko cierpki smak przelewał się w jej ustach mieszając ze smakiem i zapachem skóry i jego podniecenia, które zanurzało się w jej bezwstydnym ustach.

Tej nocy przekroczyła barierę. Skosztowała zakazanego owocu niczym biblijna Ewa skuszona pięknym sykiem szatana pod postacią węża. Tak i ona dała się skusić odrzucając wszelkie reguły. To nie był prawdziwy seks. Nawet nie poczuła go w swym wnętrzu. To było coś znacznie mocniejszego jak nieistniejące połączenie wody i ognia. Delikatność i zmysłowość przenikające się ze

zwierzęcą żądzą i pożądaniem. Karmili się nawzajem pijąc łąpczywie i nie mogąc się nasycić. Stał się jej kielichem. Świętym Gralem, którego bezcześciła.

Zmęczeni zasnęli nad ranem w swych ramionach, spleceni niewidzialną i nieistniejącą nicią, którą powiązali swe niemoralne jaźnie. Stała się przynależnością owego nieznajomego, któremu nie zdradziła nawet swego imienia, tak jak i on oddał jej się w całości. Łatwo jest przekroczyć granicę. Lecz krew potrafi skazić. Uzależnić swą narkotyczną mocą... Znacznie trudniej jest wrócić do świata, w którym wszystko i wszyscy odgrywają swe role skuci łańcuchami swych pragnień i tworząc cienie niczym w jaskini stworzonej przez Platona. Została uwięziona między światami. Była teraz owym ogniem, oświetlającym platońską pieczarę.

(Informacje dot. Bathorian oraz wampirzego seksu zaczerpnięte zostały z artykułu zamieszczonego na portalu Mrooczlandia pt. „Wampir - narodziny legendy”, przedstawiającego dziewiętnastowieczne badania Ochrowicza nad ektoplazmą i tym, co nazywamy potocznie wampirami.)

Czerwone Szpilki

Płomień świecy migotał opromieniając delikatnym ciepłem pomieszczenie i jej skąpaną półmrokiem ciszy twarz. Mimo to czuła wypełniający ją chłód i smutek. Języki cienia jak ogień tańczyły na mlecznym ciele kobiety oplatając je jak kiedyś oplatały jego dłonie. Gdy wpatrywała się w głąb siebie spojrzeniem czarnej przeszłości, spod zamkniętych powiek obserwowała jego pełne miłości oczy, gdy patrzyły tylko na nią nie widząc nic więcej. Zupełnie jakby nie istniał wokół nich świat i czas, a oni spleceni razem uczucia znajdowali się w nieistniejącej, pełnej magii i mistycyzmu szkatuleczce grającej tylko dla nich nieskazitelne tony i salwy niesamowitych melodii bicia ich serc.

Gorycz smutku soczystymi plamami słonych kropli powoli skupiała się pod czarną zamkniętych powiek. Nigdy więcej nie spojrzy na nią tym przepelnionym czułością i spokojem spojrzeniem. Ona zaś nie zaśnie w jego ramionach. Nie zbudzi jej wśród blasku kominka i księżycy zerkającego zza chmur przez okno ich wspólnego królestwa. Nigdy już nie powie jej jak bardzo ją kochał, a ona nie poczuje tego blasku wypełniającego jej wnętrze słodką nutą radości. Nie był już dla niej. Jej pozostał tylko chłód i smutek. Trwała w nicości jakby ktoś wyrwał z jej ciała duszę. Bezwrotnie straciła część siebie, bo tylko przy nim mogła być w pełni sobą. Jej samotność stała się zupełna.

Uwięziona w pułapce własnych uczuć i nieziszczalnych pragnień nie potrafiła przestać o nim myśleć. Wciąż go kochała. Tak mocno i żarliwie jak nie potrafi kochać żadna inna istota. Był niczym księżę z bajki. Tak idealny, że nieraz zastanawiała się czy

przypadkiem sama go nie wymyśliła. Ale on był prawdziwy. Tylko niestety tak jak owy książe z marzeń sennych, mężczyzna znikł z jej życia niczym przemijający sen, a księżniczka, opleciona mgłą wspomnień i niespełnionych nadziei, została sama.

Mimo jego braku, nie potrafiła myśleć o nim źle. Oskarżała siebie o to, że go straciła, a teraz już nigdy nie zazna szczęścia, bo niemożliwe jest by drugi raz w jednym wcieleniu spotkać swą drugą połówkę. A on rzeczywiście był taki, jak gdyby ktoś stworzył go specjalnie dla niej. Był inny. Zupełnie jakby należeli do gatunku stworzeń żyjących w ludzkiej rzeczywistości, lecz czujących i myślących zupełnie inaczej. Tak bardzo różniła się od otaczającego ją tłumu. Nigdy już nie spotka kogoś takiego, kto trwałby razem z nią w owej nicości. Nigdy nie pokocha tak szczerze i mocno.

Indygo... Żaden z żyjących mężczyzn nie ma w sobie tyle pierwiastka kobiecości, co on miał. Żaden z żyjących na tym świecie ludzi nie ma w sobie tak potężnej i nieskazitelnej duszy, co ten mężczyzna. Nikt jej nie zrozumie tak jak rozumiał ją ten niebieski ptak zadziobany i zniszczony przez szare wróble człowieczeństwa. Mieli tylko siebie. Lecz teraz nie miała nikogo. Została zupełnie sama. Nie pasowała do ogółu. Nie potrafiłaby pokochać nikogo innego. Należała do niego od niepamiętnych dziejów, gdy świat dopiero budził się do życia w swym purpurowym blasku przebudzenia.

Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i nie myślała o tym jak bardzo różni się od ludzi. Ziemia wypełniona jest chrześcijańskimi barbarzyńcami, którzy myślą schematami i nie potrafią czuć energii wszechświata wypełniającej otaczającą ich rzeczywistość harmonią natury i przemijaniem wszelakich jestestw po sobie. Kręgi życia. Odwieczna prawda. Pradawna wiara. Chelbią tylko tego swojego spersyfikowanego i osobowego boga, uważając go za świętość, jedyną wyrocznię i prawdę, która to prawda wszak nawet w tej ich głupiej świętej księdze wybawiła izraelskich niewolników z egipskiej niewoli tylko po to, by dać im

ziemię obiecaną. Ziemię, która to przecież zamieszkiwana była przez inny lud i nie należała do nich, lecz do istot, które stały się ofiarami chrześcijańskich zbrodniarzy. Czyż chrześcijański Bóg nie wybrał ich, by napadli w swej „świętej” wojnie na Jerycho stając się jednocześnie oprawcami i panami ludu, który uczynili swoimi sługami, tak jak oni niegdyś byli sługami Egiptu? Tak oto niewolnicy stali się narodem wybranym mordując i zabierając innym, to co było zakazane. Czysty sarkazm i obłuda. Wszak gdy izraelskie plemiona posiadały niewolników, ich „dobry i sprawiedliwy” Bóg ich za to nie karał, a otaczał opieką. Bisurmańskie psy! – Pomyślała i skrzywiła się na myśl, że biblijny Bóg, którego wymyślili, dał im świat na własność. Naród żydowski uważał się za panów ziemi, niczym ich obecni chrześcijańscy następcy, w których cieniu przyszło jej żyć. Myślą, że są narodem wybranym, bo modlą się do tego swojego bożka, który oddał im we władanie świat, by stali się królami. Uważają się za lepszych, gdyż są tymi, którzy decydują o wszystkim. Stworzyli swój kanon. Swój schemat, którego trzeba się trzymać. Światopogląd, w który trzeba wierzyć i nie można się wychylić jeśli nie chce się zostać spalonym na stosie lub w szykanach cierpkich spojrzeń. Mówią o miłości i przebaczeniu, ale niszczą wszystko, co czuje i myśli inaczej. Wszystko to, co inne jest określane mianem „zła”. A przecież świat nie jest rzeczą, którą można władać i mieć na własność tocząc krwawe spory o ziemię, lecz żywym tworem z bijącym sercem.

On jeden widział to i interpretował tak jak ona. Tylko on to rozumiał. Był inny. Nie myślał i nie czuł tak, jak mu kazali. Miał wolny umysł. Nie mieścił się w schematach i sztucznych prawidłowościach, które ludzie każą uważać za świętość i niszczą wszystko to, co się różni. Co nie mieści się w klatce schematów. Wszystko, co inne. Patrzą z góry na takich jak oni. Jego wici swobodnie oplatały świat czując i widząc, to co niewidzialne dla chrześcijańskiego ludu z marmurowego kamienia, który nie potrafi dostrzec tego, co widzą czyste oczy. Oni nie potrafią patrzeć szeroko zamkniętymi oczyma. Ale tego, kto potrafi i kto błądzi niczym ślepiec w ciemności emanującej jasnym blaskiem prawdy, już nie ma. Nikt inny nie zrozumie tego, co czuje ona. Teraz była zupełnie sama

niczym nieistniejąca papierowa postać z książki, którą ktoś wyciął z miłosnej powieści rozdzielając od ukochanego i wstawił w betonowy świat chorej rzeczywistości ściśniętej w sztucznej klatce stworzonej przez poprawne umysły. Jej samotność i pustka były zupełne. Spod zamkniętej czary powiek sączyły się słone krople rozpaczy.

Cisza i mrok przenikały pomieszczenie bezgłosem rozpaczy i apatią. Kobieta bezwiednie uniosła się z fotela i podeszła do okna lustrując kobaltowo–perliste chmury podświetlone płomieniem zachodzącego słońca przenikniętego purpurą ciemniejącego nieba. Tonała w intensywnych kolorach chłonąc ich piękno. Piękno, na które patrzyła sama. Ach, jak pięknie byłoby stać tu w jego objęciach. Ale nigdy już nie będą patrzeć w tym samym kierunku stojąc spleceni w miłosnym uścisku.

Podłoga zaskrzypiała. Gdzieś z dali rozszedł się odgłos szpilek uderzających o zimne panele mieszkania, a w chwilę później w progu pokoju pojawiła się płomiennowłosa postać trzymająca w ręku zawiesznięte płótna na metalowych wieszakach. Samara spojrzała tym swoim przenikliwym zielonookim spojrzeniem przesywając na wylot chłód pomieszczenia i smutną kobietę przy oknie. Jej twarz jakby posmutniała. Patrzyła ze szczerym przygnębieniem malującym się w okrągłych źrenicach. Cisza przestała być głucha.

- Wciąż o nim myślisz? – Spytała tonem nadającym jej wypowiedzi raczej sugestię twierdzenia niżeli pytanie.

Nie musiała czekać na odpowiedź. Znała ją bardzo dobrze. Wiedziała, co siedzi w umyśle przyjaciółki. Chciała jej pomóc. Jakoś pocieszyć.

- Po co mnie tu ściągnęłaś? Nie mam ochoty na zwierzenia. Nie jestem dziś w nastroju. – Rzuciła chłodno Tatiana znów wpatrując się w przestrzeń za oknem.

Samara wymusiła uśmiech, który miał przerwać mroczną atmosferę posepności wręcz unoszącej się i wypełniającej domostwo niczym chmura gradowa.

- Idziemy na drinka. – Rzuciła modelując głosem, by przybrał radosny ton. – Nie musisz nic mówić. Pomilczymy. Posiedzimy w barze. Wyjdiesz do ludzi. Na chwilę. Potem wrócisz, by dalej wspominać. – Dodała niepewnym głosem.

- Nie wiem czy to dobry pomysł. – Odparła z posepnym spojrzeniem naburmuszonego dziecka.

- Dobra, nie marudź. Pójdiesz i dotrzymasz mi towarzystwa, a potem wrócisz do siebie. A teraz pomóż mi wybrać w czym mam iść. Która jest lepsza? – Spytała stojąc w progu i jednocześnie unosząc dłonie z wieszakami, na których widniały kreacje.

Tatiana spojrzała od niechcienia w stronę przyjaciółki. Wiedziała, że Samara tylko się o nią troszczy, ale nie rozumie, że w tak posepnym nastroju jak dziś, wolałaby zostać w domu niż szwendać się po klubach. Czowała się żałośnie. Nie w głowie jej były ciuszki i fatalaszki, ani żadne inne próżne przyjemności świata materii. Wolała siedzieć w swojej próżni i wspominać miłe chwile, gdy nie była taka samotna i pozbawiona części siebie. Teraz była pusta. Jak mogła zwracać uwagę na takie drobiazgi jak wybór stroju? Poczwała się jeszcze bardziej żałośnie. Nic nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Było jej wszystko jedno.

A jednak doceniła starania przyjaciółki. Choć czy można przyjaciółką nazwać osobę z którą widuje się tak sporadycznie i rzadko? Pracowały w jednej firmie, ale innych działach. Zaprzyjaźniły się na imprezie pracowniczej. Już wtedy pojawiła się między nimi niewidzialna nić porozumienia. Od tego czasu zdarzało się, że wyskoczyły gdzieś razem. Bardzo sporadycznie, ale spotkania te były dość specyficzne.

Samara nie miała w sobie nic ze sztuczności jak większość otaczających ją ludzi. Kobieta, choć nie do końca, mogła przy niej mówić o swych przekonaniach, bo płomiennowłosa Samara nie oceniała jej jak cała reszta barbarzyńsko poprawnych ludzików. Nawet więcej. Sama skłaniała ją do wyznań i wypytywała z zainteresowaniem i szeroko rozwartymi oczyma.

- Pamiętam jak kiedyś spytałaś mnie o moją wiarę. – Rzuciła wciąż oderwana od rzeczywistości, a mocno trwająca w mglistym świecie wspomnień i refleksji. Mówiła nawet bardziej do siebie niż do czekającej na opinię dziewczyny. Jej głos był powolny i zamyślony. – Nie chciałam ci na początku powiedzieć. Myślałam, że spojrzysz na mnie jak na jakąś kosmitkę. Ludzie zazwyczaj tak na mnie patrzą gdy pokazuję im swe prawdziwe oblicze.

- Powiedziałaś, że jesteś ateistką. Pamiętam. Ale wciąż do końca nie wiem. Czasem bywasz taka tajemnicza.

- Wierzę w energię wszechświata. – Odparła krótko.

Przez chwilę obie trwały w milczeniu. Samara wciąż wpatrywała się w nią czekając na dalszy ciąg wypowiedzi. Tatiana nie patrzyła w jej stronę, lecz czuła na sobie siłę spojrzenia.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem katoliczką, bo choć wychowałam się w tej wierze, to im więcej czytałam Pismo, tym bardziej widziałam jakie tam zamieszczone są herezje. Dla mnie to religia niewolnicza, która uczy posłuszeństwa wobec swego pana, nawet jeśli pan namawia do złego. Czy każdy musi być poddany swemu władcy i mieć takie same poglądy jak on? Czy jeśli ma inne, to od razu musi być zły? Nie ma w tym nic złego, że Szatan przeciwstawia się Bogu. Poza tym Bóg ze Starego Testamentu jest Bogiem zagłady, więc można też wyjść z założenia, że Bóg i Szatan to tak naprawdę jedno i to samo. Nie podoba mi się taki sztuczny podział i dzielenie, że coś jest złe albo dobre oraz mówienie, że Szatan jest zły, a Bóg dobry, bo przecież upersonifikowany Bóg też zsyła plagi,

a nie tylko miłość. Dla mnie Bóg i Szatan, tak jak zło i dobro to pojęcia irracjonalne i subiektywne. Poza tym to Bóg stworzył cieniastą stronę, gdyż ta jasna była tak promieniująca, że spopieliała. Czy więc Szatan nie jest częścią Boga? Nie podoba mi się też sporo przypowieści, a raczej nie same przypowieści, bo to dla mnie zwykle opowiadania jak inne mitologie, tylko to jak są interpretowane. Nie ma w tym logiki, a zło przedstawiane jest jako dobro, które trzeba czcić.

- Masz rację. – Odparła w zamyśleniu opuszczając dłonie z wieszakami. - Też czasem inaczej interpretuję te przypowieści, niż każą księżą. Mierzi mnie chociażby taka interpretacja Hiobowych Wieści. Księga Hioba mówi o tym jak Szatan zakłada się z Bogiem, że Hiob w niego zwątpi, więc dobry Bóg – dobry Bóg powiedziała z nutą sarkazmu - udowadnia szatanowi, że jest w błędzie i krzywdzi Hioba. Zabija mu rodzinę i odbiera majątek tylko po to, by postawić na swoim i udowodnić diabłu, że Hiob w niego nie zwątpi. Jaki z tego morał?

- Dla katolików taki, że trzeba wierzyć mimo wszystko, bo Bóg wynagradza tym, którzy w niego wierzą, wszak Hiob nie zwątpił i w nagrodę dostał nową rodzinę i majątek. – Odpowiedziała jakby nieco zainteresowana i poruszona tematem. – Ale ja widzę to inaczej. To Bóg jest zły, bo znęca się nad Hiobem tylko po to, żeby coś udowodnić Szatanowi. Jest hazardzistą i katem. Gdyby wszyscy katolicy czytali tak żarliwie pismo i starali się sami je interpretować, jestem pewna, że większość z tych ludzi, przestałaby wierzyć w te wszystkie nielogiczności.

- Jej, ale to mądrze ujęłaś. – Spojrzała na nią z nieskrywanym podziwem.

Nie pierwszy zresztą raz. Dlatego właśnie Tatiana tak bardzo lubiła rozmawiać z Samarą. Była taka ciekawa świata. Była otwarta. Nie oceniała. Nie rozróżniała wszystkiego na czarne i białe. Dostrzegała odcienie szarości.

- Mi to się tak zdaje – zaczęła ciągnąć zapatrzona w Tatianę - , że ludzie uważają się za katolików, bo wszyscy nimi jesteśmy i świat nas do tego zmusza. Nikt nie chce odstawać. Ale tak naprawdę to większości nie chce się czytać Pisma, nie interesują się swoją religią, nie znają swoich przypowieści i nie mają wiedzy na tyle, by zrozumieć o czym mówią.

- Dokładnie. Mówią o miłości, ale są nietolerancyjni dla wszystkiego co inne. Zawsze pierwsi rzucają kamieniem. – Odparła z przekonaniem i jakąś dziwną ulgą.

Samara nie oceniała jej przekonań. A co najważniejsze, również zauważała to, co widziała Tatiana. Nie wstydziła się przyznać do tego. Nie bała się powiedzieć, że myśli inaczej niż wszyscy. Że jest wolna.

- Jesteś satanistką? – Odważyła się wreszcie zapytać o to, co podejrzewała od dawna.

Na twarzy Tatiany pojawił się lekki uśmiezek. Nieco było w nim zażenowania, nieco drwiny i rozbawienia, ale przede wszystkim był to uśmiech świadczący o zainteresowaniu tematem i życzliwości. Wreszcie mogła bez ogródek mówić. Mogła rozmawiać. Pytanie wydało jej się nieco zabawne, ale nie chciała dać po sobie poznać, że jest rozbawiona, by nie urazić ciekawości kobiety.

- Satanizm i katolicyzm to jednak jedno i to samo. To jedna i ta sama mitologia. Dla mnie Bóg i Szatan, tak jak zło i dobro to pojęcia irracjonalne i subiektywne. – Zaczęła wywód z lekko pobudzona wreszcie mimiką twarzy, która dotychczas bardziej przypominała dumnie zamyślony posąg, niżeli żywą tkankę. - Sataniści nie mają swoich bogów, a jedynie czerpią z chrześcijaństwa, które nieco inaczej interpretują, więc można by stwierdzić, że satanizm jest odłamem chrześcijaństwa. Buddyści mają Budę, a sataniści? To jedna i ta sama religia co chrześcijanizm, tylko inny jest punkt wyjścia. Pozatym tak jak chrześcijanie dzielą się na

katolików czy protestantów, tak sataniści też mają wiele odłamów. Satanizm okultystyczny to kult Satana utożsamianego z osobą, gdzie praktykuje się magię, okultyzm czy spirytyzm. Tak to zostało nazwane, choć pewnie prawdziwy okultysta z kolei też mógłby stwierdzić, że nie uważa się za satanistę, a magia i religia to dwie inne sprawy. Kolejnym odłamek jest satanizm subkulturowy nazywany przez specjalistów i teologów kwasem. Mowa tu o satanizmie Mansona i czczeniu czarnej biblii La Vey'a, która dla mnie jest beznadziejna i nic w niej nie ma oraz dzieciakach, które bawią się w palenie krzyży, walkę z Bogiem i kościołem, wandalizm, narkomanię i są przykładem okropnej patologii. Osoby, które go praktykują nie mają praktycznie żadnych poglądów. Wierzą w tradycyjnie dobrego Boga i złego diabła, któremu niby służą i robią wszystko co złe. To jest dla mnie tak samo chore jak święte wojny islamistów i dlatego większość katolików nienawidzi satanistów. Jest też Lucyferyzm, ale też różnie się go postrzega. Jedni Lucefyranie wychodzą z założenia, że Lucyfer jest prawdziwym Bogiem i to jemu trzeba składać cześć. Bóg Lucyfer jest bytem osobowym. Inni utożsamiają Lucyfera jako część Boga chrześcijan i że tak to określe, jego instrument i prawą rękę. Uważają, że Lucyfer nie jest upadłym duchem, ale wysłańcem Boga. Jest też satanizm racjonalistyczny, czy też ideologiczny, w którym Szatan nie jest postacią realną i osobą, ale raczej symbolem swobody i wolności. Ten jest mi najbliższy. Utożsamianie Boga i Satana jako jeden byt zdaje się być logiczne. Bóg ze starego testamentu jest zły, a z nowego łaskawy, tak? Zło i dobro w jednym. Tak jak z naturą. Kręgi życia zataczają się ze sobą. Coś umiera, lub zostaje pożarte, żeby coś innego mogło żyć. To tylko natura. Nie można powiedzieć, że jest zła lub dobra. Po co to oceniać? Tak samo jest z energią wypełniającą świat. Niech ją sobie nazywają Satanem, Jahwe, Buddą czy czymkolwiek innym. Dla mnie to po prostu energia. Ani dobra, ani zła.

- Jesteś buddystką? – Formułowała teraz krótkie pytania, które miały skłonić zapatrzoną w szybę okna kobietę do zwierzeń.

Wreszcie udało jej się zainteresować czymś czarnowłosą smutną postacią. Samara uwielbiała jej słuchać. Uwielbiała poruszać takie tematy. Choć sama nie była tak pewna jak Tatiana w swych przekonaniach, to chętnie chłoneła, rozmyślała, interpretowała, starała się zrozumieć różne punkty widzenia. Teraz, tak jak i zawsze, nie mówiła dużo o swoich własnych przekonaniach. Skłaniała jedynie przyjaciółkę do wysuwania śmiałych i nieraz kontrowersyjnych tez, które ją ciekawiły. Była poszukiwaczką, która jeszcze nie odkryła siebie. Podobnie jak kiedyś Tatiana, ona teraz zaczynała szukać. Zaczynała badać. Poznawać.

Tatiana tymczasem wreszcie mogła otwarcie przyznawać się do swych przekonań i nie bała się że zostanie wyszydzona lub wyśmiana. Przy niej czuła się bezpiecznie. Była rozluźniona i spokojna. Teraz poczuła lekką ulgę. Wreszcie mogła z kimś porozmawiać. Nie było to oczywiście niczym niezwykłym w porównaniu z takimi dyskusjami, które odbywała z niezapomnianym jej sercu mężczyźni. On był jej guru. Był tak otwarty i inteligentny jak żaden inny człowiek. Wówczas to ona zadawała pytania. Choć trzeba przyznać, że z niektórymi jego poglądami też się nie zgadzała. Był strasznie kontrowersyjny w swych tezach. Ale za to kochała go najbardziej. Otwarcie mówił jej o tak niewiarygodnych rzeczach i nielogicznych aspektach, że sama często miała ochotę się roześmiać, ale tego nie robiła by go nie urazić. Nikt nikogo nie oceniał. Mogli mówić wszystko. Dzielili się najskrytszymi myślami.

- Buddyzm to nie religia, tylko filozofia. – odparła głosem zdecydowanym, nieco zadumanym i pozbawionym niepewności. - Jest mi chyba najbliższy, aczkolwiek ciężko mi się wypowiadać, ponieważ nie mam odpowiedniej wiedzy i nie jestem znawcą. Żeby mówić o religiach i porównywać je z sobą trzeba by najpierw je wszystkie dobrze poznać. W każdym razie myśl o reinkarnacji, przemijaniu po sobie wszelakich jestestw i o tym, że wszystko ma jakąś energię, zdaje się być mi bardzo bliska.

- To kim jesteś? Ateistką?

- A czy muszę się gdzieś na siłę przypisywać? - Spytała patrząc na zimną powierzchnię szyby. - Wierzę w to co wierzę. Trochę ateistka, trochę katoliczka, trochę satanistka, trochę wszystko, a jednocześnie nic. Jestem po prostu sobą. – Odparła znów nie dając Samarze takiej odpowiedzi, na jaką ta liczyła. Miała nadzieję, że usłyszy o jakimś konkretnym przypisaniu, o konkretnej religii. Tymczasem odpowiedź stanowiła jednoczesny brak odpowiedzi. Po chwili milczenia, gdy własne słowa utkwily jej w gardle, na powrót przeszło jej przez umysł, że jest tak bardzo inna i samotna w swej myślowej próżni. – Już nigdy nie spotkam nikogo takiego jak on. – Rzuciła drżącym od goryczy głosem zmieniając jednocześnie temat.

- Spotkasz kogoś lepszego. Może nawet dziś. – Odparła rozmówcy pragnąc pocieszyć przyjaciółkę, choć sama nie wierzyła w swoje słowa zdając sobie sprawę, że czas leczy rany, a Tatiana jest jeszcze zbyt bardzo rozgoryczona, by mogła myśleć pozytywnie i smuć plany na przyszłość.

Randka z człowiekiem? Tamara skrzywiła się na samą myśl o takowej. Ludzie są jak króliki. Nie mają duszy. Są puści i nudni. Nie mają osobowości. Gdy ktoś ich pyta o pasje i zainteresowania wymieniają motoryzację, chodzenie z psem na spacer, czy jazdę rowerem. Większość z nich jest zupełnie zwyczajna. Ale cóż to niby takiego? To ma być pasja? Ot, proza życia codziennego. Większość z nich nie ma żadnych pasji, ani osobowości. Pasjonaci – syknął ironicznie głos jej umysłu. Tak, jasne. Melomani. Pasjonaci filmu. Rzeczywiście. Wielka i mi pasja siedzieć przed telewizorem przez całe dni. Są jak marionetki. Wszak pasja to skakać ze spadochronu i widzieć jak ziemia nas przyciąga, to jechać konno po urwisku patrząc ze zbocza skarpy na plażę i wspanione fale morza oplatające glob. Pasją może być pokonywanie gór, pisanie, malowanie, komponowanie, tworzenie, taniec, uprawianie kata podczas burzy. Nawet botanika może być pasją. Cokolwiek! Ale oni w większości są identyczni. Nie wyróżniają się. Są swoimi wiernymi duplikatami.

Są jak króliki. Tak, to dobre określenie. Tylko by chcieli kopulować. Do tego sprowadzają się ich randki. Nie ma z nimi o czym rozmawiać. Nie ma wśród nich prawdziwych erudytów. Mówcy umarli w Grecji. Zostały po nich tylko symbole, takie chociażby jak pentagram. A teraz ludzie zbeczcęcili symbole nadając im zakłamanych znaczeń. Prymitywna zwierzęca natura pozbawiona osobowości. Pierwotność i instynkt na bardzo niskim poziomie intelektualnym.

A ci inteligentni? Ci z wyższej półki? Przecież są i tacy. Naukowcy. Pisarze. Lecz prawdziwych myślicieli z duszą jest zaledwie garstka. Aistein nie był klonem. Nie był repliką. Ale większość ludzi to wierne kopie. Inteligencja owych czasów – menadżerowie korporacji, sprzedawcy robiący fortunę na kantach. Sznur owieczek. Owczy pęd. Dokładnie to samo. Każdy umie liczyć pieniądze, ale nie sztuką jest kombinować niczym karciany oszust by zdobyć majątek i sławę, o czym marzą ludzie. Sztuką jest pozostać w cieniu, trwać w zgodzie z własnym ja, naturą i porządkiem świata. Nie umieją myśleć. Patrzą schematami. Są przewidywalni. Nie ma wśród nich prawdziwych filozofów i proroków.

Znów poczuła uścisk serca, a krew zaczęła rytmiczniej krążyć w żyłach na wspomnienie swojego, lecz nie należącego już do niej stworzenia, które tak bardzo różniło się od nudnych ludzi swą autentycznością. Jedyne stworzenia przy którym czuła się swobodna i szczęśliwa. Tatiana była zawsze nieco skryta i tajemnicza niczym pantera wyłaniająca się z mroku i nieosiągalna niczym cień. To czego szukała w życiu było nieziszczalne, nieszablonowe, nierealne i niewidoczne jak karma czy energia. Znalazła. Przez chwilę czuła. Przez chwilę była. Miała to czego pragnęła. Naprawdę była. Teraz czuła się niebytem z wydrapaną duszą. Czuła? Przecież nawet nic już nie czuła. Ktoś kto nie istnieje i kogo nie ma, może jeszcze coś czuć? Chyba jedynie pustkę.

Po chwili jednak mglistym wzrokiem spojrzała na przyjaciółkę. Jej oczy były wnikliwe, ale też ciepłe i przyjacielskie. Poczula dla niej wdzięczność i jednocześnie zrobiło jej się szkoda płomiennowłosej kobiety, która udawała szczęśliwą. Śmiała się. Lec z był to tylko pozór. W sercu, tak jak Tatiana, skrywała gorycz, ból, smutek i tęsknotę. Mimo to, próbowała pocieszyć przyjaciółkę. W momencie, gdy uświadomiła to sobie, poczuła, że Samara staje jej się coraz bliższa. Może nie tak do końca nikt jej nie rozumie, bo przecież jest Samara. Może ona trochę mogłaby zrozumieć gdyby chciała. Ale nie oni. Ludzie są znieczuleni. Ludzie są zamknięci. Zasufladkowani. Nigdy już nikt nie zrozumie jej tak dobrze, jak mężczyzna, którego więcej nie spotka i nie znajdzie się w jego kojących smutek ramionach. Ale może istnieją jeszcze jakieś wyjątki? Samara zdawała się być nieco bardziej rozumna od sztucznego tłumu. Nieco bardziej otwarta. Nie była skorumpowana do końca. Nie miała w sobie sztucznej, zmechanizowanej inteligencji. Też była sobą. Może mogłaby jeszcze spotkać choć tylko jedną, jedyną osobę, z którą będzie mogła się porozumieć? Kiedyś. Może spotka ją pośród miliona skorumpowanych bytów? Czy to możliwe by jeszcze kiedyś spotkała jakąś bratnią duszę?

Tatiana poczuła na tyle ulgę, że wreszcie spojrzała trzeźwo w stronę, trzymanyh w rękach Samary, strojów, by ocenić, w którym przyjaciółka będzie wyglądała najkorzystniej. Najpierw jej spojrzenie splotło się z wzrokiem kobiety. Samara miała takie ciepłe oczy. Rozumiała smutek zranionej i odrzuconej kobiety oraz jej cierpienie, wszak sama przeżywała podobne rozterki. Dobrze wiedziała czym jest samotność. Jednocześnie miała męża, ale i znajdowała się w związku na odległość, gdy ten pojawiał się w domu raz na miesiąc. Rozumiała, że taką ma pracę, dlatego wiernie trwała przy nim będąc jednocześnie samą. Czekala niczym Penelopa, lecz nikt nie zliczy ile łez wylała do poduszki, gdy świat wypełniała czerń nocy. Dlatego teraz potrafiła zrozumieć w jak dramatycznej sytuacji znajduje się cierpiąca Tatiana. Nikt bowiem nie zrozumie kobiety tak dobrze, jak inna kobieta, która na dodatek ma podobne smutki i doświadczenia.

W lewej ręce znajdował się wieszak z seledynową sukienką. W prawej połyskiwała czarna luźna tunika z błyszczącymi cekinami i zawieszonym na plastiku srebrnym naszyjnikiem z fikuśnym wisiosem. Kobieta ledwo zlustrowała stroje, gdy jej wzrok napotkał coś zupełnie innego. Samara stała w progu pokoju trzymając wieszaki z ubraniami. Wyglądała jednocześnie tak naturalnie, ale i było w niej coś, co zburzyło myśli Tatiany wbijając się w nie szokującym obrazem, na który wcześniej nie zwróciła uwagi.

Niby nic dziwnego, że nie była do końca ubrana. Chciała się przebrać. To normalne. Była niemalże naga. Tatiana nie mogła jednak oderwać oczu od ciała przyjaciółki. Szczupłe kostki u nóg oplecione delikatną klamrą wiązanych butów. Czerwone szpilki. Tak pięknie podkreślały jej rzeźbione mięśnie łydek. Nogi były długie. Skryte półprzezroczystą mgłą czarnych pończoch kończących się koronkowym paskiem tuż przy początku ud. Delikatna bielizna uwidaczniała każde załamanie, krawędź ciała i wgłębienie. Wąska talia. Gładka skóra. Nieco napięta. Fikuśny stanik oplatający piersi niczym dłonie kochanka. Tatiana nie mogła oderwać oczu od ciała kobiety. Kusilo ją. Było piękne. Naturalne. Takie... Podniecające?

Ale przecież to była kobieta! Nie powinna tak na nią patrzeć. Nie powinna jej rozbierać wzrokiem. Zrobiło jej się wstyd. Poczula się zmieszana własną reakcją i szybciej bijącym sercem. Przestraszyła się, że Samara zauważy jej dziwne zachowanie. Zauważy nienaturalną reakcję. Napięcie. Wzrok wbity łapczywie w bieliznę. Nie wiedziała jak się zachować, by nie dała po sobie nic poznać. Samara podniecała ją.

- Załóż zieloną. Podkreśli twoje oczy. – Rzuciła sztywno spuszczać spojrzenie i mając nadzieję, że Samara nie zauważyła jej speszzenia.

- Na pewno? – Zastanawiała się. – Bo mam jeszcze jedną. Ale w tej szafie. – Wskazała na mebel stojący za plecami Tatiany.

Tataiana tymczasem czuła, że płonie ze wstydu. Miała nadzieję, że Sam wróci do sypialni, ubierze się i napięcie minie, a one wrócą do poprzednich relacji i kobieta nie będzie musiała się kontrolować, by nie wgapić w przyjaciółkę głodnym spojrzeniem. Tymczasem ona jak na złość kręci się tu przy niej w samej bieliźnie i kusi ją swymi kształtami. Oczywiście nieświadomie. Nie podejrzewała by robiła to celowo.

Odwróciła spojrzenie w drugi kąt pokoju, gdy Sam wreszcie przekroczyła próg. Przeszła obok roztaczając słodki zapach mleczka kokosowego, którym zwilżone było jej ciało. Zapach uderzał do głowy swą delikatną nutą aksamitu i dekadencji. Sam roztoczyła w pomieszczeniu czar swego uroku i nic już się nie dało zrobić. Wyimaginowany obraz nagiej dziewczyny, nie mógł opuścić myśli Tatiany.

- Co o niej sądzisz? – Rzuciła wyciągając z szafy brzoskwiniową sukienkę z lekką euforią w głosie i podnieconym tonem, który pewnie spowodowany był impulsem wyjścia, a nie tym, co przeszło przez bezwstydną myśl Tatiany.

Sukienka była koszmarna. Nadawała się może na wyjście do kościoła, ale nie na wieczór. Nudna i poprawna. Nie pasowała do Samary. Pastelowy kolor pomarańczy sprawiał, że jej płomienne włosy zdawały się wtapiać w tło i ginąć pod przytłoczeniem tuzinkowości. Seledynowy natomiast podkreślał niesamowite spojrzenie, a rude włosy zdawały się przy nim błyszczeć ogniem miedzi lśniącej złotem.

- Nie. Pierwsza zdecydowanie lepsza. – Odparła znów spuszczać zawstydzone spojrzenie i wgapiając się w podłogę.

- A do tego? - Dopytywała jakby pełna entuzjazmu znów karząc jej odwrócić wzrok od nudnych klepek. – Mam taką fajną grubą bransoletę. I do tego kolie. Złote. Myślisz, że będą pasować? – Wciąż mówiła wprost karząc się na siebie patrzeć.

Odwróciła się tyłem do Tatiany szukając biżuterii w barku. Nie patrzyła na nią, więc Tatiana nie musiała się powstrzymywać od zerkania na napiętą skórę gładkich pośladków wystających spod koronki bielizny. Może nieświadomie, lecz strasznie kokieteryjnie Samara pocierała przy tym łydką o drugą nogę nachylając się nad szpargałami. Niesamowicie wysokie szpilki w mocnym kolorze odważnej czerwieni tak strasznie podkreślały jej długie i zgrabne nogi. Tatiana poczuła delikatne łaskotanie w podbrzuszu na myśl o kontakcie ze skórą tak gładką i miękką. Zastanawiała się jakby to było przekonać się jaka jest w dotyku.

Z zamyślenia wyrwało ją spojrzenie przyjaciółki. Sam od dłuższej chwili stała skierowana w stronę fotela w którym znów siedziała czarnowłosa dziewczyna. Widziała spragniony wzrok na swym ciele, gdy Tania nie mogła oderwać oczu od niesamowitych kształtów jej sylwetki przyciągających ją niczym magnes.

Policzki rozpalila czerwień zażenowania i speszenia własną reakcją, lecz po chwili wstyd przemienił się w zaciekawienie, bo Sam wcale nie patrzyła na nią z poczuciem zażenowania. Teraz dopiero zaczęło do niej docierać, że kobieta z nią flirtuje. Specjalnie paradowała w samej bieliźnie. Wdzięczyła się przed nią. Kokietowała. Chciała by Tatiana patrzyła. Pragnęła jej uwagi. Teraz, gdy ich spojrzenia się splotły, obie wiedziały czego skrycie pragną.

Nastrój bólu i rozpaczony przeszywający pomieszczenie i wypełniający każdy jego zakamarek, niewidzialną, aczkolwiek wyczuwalną atmosferą emanującą chłodem i ogniem zniszczenia, zaczął mieszać się z napięciem seksualnym, co stanowiło isticie niebezpieczne połączenie. Moc krążyła między ścianami domostwa nie mogąc znaleźć ujścia dla emocji ją potęgujących.

Przeładowanie. Tak. Zawsze gdy niespokojnym bytem, który umie czerpać i wyczuwać energię wszechświata, a nawet nieświadomie ją potęguje i wzmacnia wokół siebie otaczając się tajemniczą aurą, rzucają tak dogłębnie elektryzujące stany umysłu,

może dojść do przeciążenia. Wybuch był nieunikniony. Myśli zaczynają krążyć w nielogicznym i niezrozumiałym chaosie. Pragną uciec. Eksplodować. Emocje stanowią prolog eksplozji despotycznej siły.

Sam podeszła opierając się o krawędź ławy na której blacie zacisnęły się palce Tamary. Wpatrywała się w nią z zaciekawieniem. Badala jej reakcję na widok własnego ciała zalotnie zakręcając na palcu kosmyk płomiennych loków. Uśmiechnęła się. Jedwabne, karmelowe usta wygięły się w jaśniejący kusicielsko promyczek. Ciekawe jak smakują – przeszło przez myśli Tamary, która wpatrywała się w nią bez żadnych już lęków.

Obie milczały. Ale nie musiały nic mówić. Spojrzenia były tak wymowne, że zbędne słowa zniszczyłyby przesiąkniętą napięciem magiczną chwilę. Samara wyciągnęła rękę w jej stronę gładząc policzek i chowając czarne włosy za ucho. Jej palce zaczęły delikatnie masować małżowinę uszną i szyję. Tamara westchnęła pozwalając by Sam trwała przy niej. Nie miała jeszcze odwagi, by samej jej dotknąć, ale czerpała przyjemność z eterycznego masażu.

W tym momencie dotarło do niej, że Samara również ma w sobie coś oryginalnego, co sprawia, że nie należy do tłumu. Była autentyczna i prawdziwa, a na dodatek tak bardzo ją podniecała i znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Dotyk koił zmysły. Wprawiał ją w błogi stan uniesienia. Wreszcie dłoń kobiety subtelnie przemknęła po jej szyi, doprowadzając tym do dreszczy, wciąż obsuwając się coraz niżej i zataczając kręgi na piersiach.

Tamara podniosła się z fotela. Zbliżyła do niej. Ich usta prawie się ze sobą stykały. Czują na sobie ciepły oddech. Spojrzenia tkwiły w sobie splecione niewidzialną nicią elektryzującą i potęgującą nastrój napięcia.

Wreszcie odważyła się by poczuć jej ciało. By koniuszkami opuszków przeciągnąć po płaskim brzuchu i nagiej skórze partnerki. Dłonie stopniowo zakradały się w coraz to nowsze miejsca dokładnie penetrując ciało, zaś usta kobiet nawzajem gładziły się i zagryzały na sobie. Języki bezwstydnie krążyły po ramionach, talii, udach, łydkach i coraz to nowszych miejscach.

Choć Sam zaczynała stawać się dla niej coraz to większą zagadką, a ona sama podziwiała jej ciało i osobowość oraz otwarcie na inność, w myślach wciąż kłębiły się wspomnienia dawnego kochanka. Samara była piękna i nieskazitelna. Dobra i nieskażona. Serdeczna i otwarta. Ciekawa i nie tuzinkowa. Była wyjątkowa. Jej dotyk był delikatny jak smagnięcie skrzydłami motyla. Mimo to, w żaden sposób, nie była w stanie wypełnić pustki po stracie ukochanego. Rozkosz zaczęła mieszać się z ponownym uderzeniem goryczy i złości oraz poczucia odrzucenia i samotności. Ani Sam, ani nikt inny nigdy go nie zastąpi. Tylko z nim mogła dryfować pomiędzy światami absurdu i normalności, światła i cienia, sacrum i profanum. Maskarada. To był jej dom. Jej ziemia. Nie miała swojego skrawka lądu, gdyż jej miejsce było wszędzie tam gdzie znajdował się on. A teraz? Teraz na powrót znajdowała się w brudnym i szarym świecie pozoru i poprawności.

W seksualnym uniesieniu, gdy dłoń Samary znajdowała się między jej udami, wygięła ciało w tył opierając się o stół, na którym do połowy leżała. Poczula, że mięśnie w jej wnętrzu zaczynają drgać. Napięcie i podniecenie były coraz to mocniejsze uderzając falami. Mieszały się jednocześnie z jadem emocji i niespełnionych pragnień oraz tęsknotą. Energia wypełniająca pomieszczenia swą mroczną mocą, nie mogła się już pomieścić unosząc się wokół kobiety i przepełniając ją nieopisaną siłą uniesienia.

Tatiana zaczęła nienawidzić mężczyzny, który teraz mocno tkwił w jej umyśle. Nienawidziła go za to, że tak mocno kochała. Mocniej niż własne życie. Mocniej niż cokolwiek. Żadne żalosne słowo nie ma w sobie takiej wartości, by opisać jej miłość i jednocześnie wstręt. Wściekłość przelewała się falami grozy. Powinien żałować teraz i cierpieć tak samo jak ona.

Kobieta nie była w stanie racjonalnie myśleć. Moc sprawiła, że w jej krwawiącym sercu pojawiło się mocne pragnienie zemsty. Jeśli ona nie może go mieć, to żadna inna ludzka istota również nie będzie go miała. Jeśli ona ma cierpieć katusze tęskniąc za nim, on również straci to, co kocha najbardziej. Odbierze mu jego miłość. Niech i on tęskni. Niech z rozpaczony stanie się martwym za życia niczym ona sama.

Teraz była ku temu odpowiednia chwila. Mogła poświęcając swój orgazm by użyć wiru phita, który spotęguje moc i przeniesie energię w inne miejsce. Wizualizacja stawała się coraz mocniejsza. Tatiana odpłynęła tracąc na chwilę świadomość i nie widząc, co wokół niej się dzieje. Skupiła całą swą energię przenikając do świata cienia i nicości, w którym znalazła się chwilowo jej jaźń rzucająca zaklęcie. Nastąpiła eskalacja. Energia przepelniająca wewnątrz została wystrzelona. Moc w postaci błyszczącego ogniem zagłady płomiennego orła splecionego rażącymi językami przedostała się z jej umysłu szybując poprzez setki kilometrów na skrzydłach wiatru, by uderzyć w ukochanego. By zniszczyć to, co on kocha najmocniej na świecie, by zabić jego prawdziwą, wieczną miłość. Niech i on zostanie martwym za życia, tak jak ona. Niech poczuje ten ból rozrywający serce i duszę.

Kilka sekund. Jedynie tyle to trwało. Moc wypełniła ją. Skupiła w sobie całą gorycz oplatając się nią niczym pajęczyną, po czym wystrzeliła energią. Czarna moc. Czarna magia. Magia wicca. Energia skumulowana. Energia wszechświata. Jakkolwiek by tego nie nazywać, zdawało się jej, że chwila, tak mocna i poruszająca, tak niszczycielska, trwała całą wieczność. Wreszcie mocno jęknęła,

gdy moc uchodziła z wiru rozszarpując jej nasycone, naładowane i naelektryzowane trucizną ciało. Otworzyła oczy niczym po głębokim letargu. Czowała rozkosz i twórcze zmęczenie przynoszące niewyobrażalną satysfakcję i poczucie jakiejś kontroli. Wszak nie każdy umie zagiąć rzeczywistość.

Samara klęczała na dywanie. Wpatrywała się z przerażeniem w opartą i na wpół leżącą na stole kobietę. Świadomość na nowo powróciła do umysłu Tamary. Spojrzała na osłabioną przyjaciółkę. Zrobiło jej się szkoda dziewczyny. Użyła również mocy wytworzonej nieświadomie przez Sam. Ukradła i wyrwała ją z jej duszy. Dziewczyna była osłabiona i przerażona. Została wykorzystana. Dopiero teraz dotarło do Tamary, co uczyniła. Wykorzystała ją.

- Co to było? – Rzuciła wreszcie drżącym głosem klęcząca w cieniu postać.

- Ale co takiego? – Zapytała z , teraz już świadomą, troską w głosie.

- Sama nie wiem. Tu jest jakoś dziwnie. To mnie przeraża. Jakby ktoś tu jeszcze był. Jakaś energia. Jakiś byt. Sama nie wiem jak to opisać.

- To tylko moc. – Odparła. – Tak działa moc. Najwyraźniej musiałaś ją odczuć. Tak się może dziać, gdy jest jej za dużo. – Wyjaśniła.

- Moc? – Rzuciła podenerwowany, niemalże panicznym tonem. – Ty byłaś jakaś dziwna. Przez chwilę, gdy patrzyłam na ciebie, byłaś taka, taka, taka... - nie wiedziała jak ubrać słowa. – Taka inna. Jakby jakiś mrok z ciebie wychodził. To było okropne. Przerażające. Jej, ja mam jakieś majaki! – Wybuchła nagłym płaczem.

- Nie zdawało ci się. Nie bój się. Nie oszalałaś. – Rzuciła z serdecznym uśmiechem mającym rozluźnić atmosferę. – Moc cię przytruła. Było jej nieco za dużo jak na siedmioczakrowaca.

- Że co?

- Punkty, przez które przechodzi moc. Im więcej ich masz, tym większe przeciążenie. Dlatego moc tak działa na ludzi.

- Ale ty przez chwilę wyglądałaś, jak... - zamilkła bojąc się wypowiedzieć na głos swych myśli tkwiących już w gardle. – Wyglądałaś jak jakiś trup! Jakbyś była martwa.

- Moc osłabia. – Odparła bez namysłu. Coś za coś. - W momencie eskalacji widziałaś mą prawdziwą naturę. Widziałaś mrok. Moc przepływającą przeze mnie. Eteryczne doznanie. Nic wielkiego. Nic się nie stało. Nie musisz się mnie bać. – Dodała kojącym głosem gładząc jej włosy.

Sam wtuliła się w jej dłoń. Nie było już napięcia seksualnego. Nadal jednak pozostawały sobie bliskie. Bliskie, choć Tamara zadawała sobie sprawę, że w pewnym stopniu wykorzystwała ją. Miała lekkie wyrzuty sumienia i było jej szkoda dziewczyny, choć pod wpływem tak silnego i przesywającego uczucia napawającego siłą, jakim było rzucenie zaklęcia, nie potrafiła jeszcze żałować. Była z siebie dumna. Wiedziała, że coś się stanie. Nie mogła się doczekać. Chciała poczuć destrukcyjną siłę mocy jej zaklęcia. Pragnęła tego. W jej pojęciu nie było czegoś takiego jak „niemożliwe”. Siłą woli i własnej sugestii potrafiła naginać rzeczywistość. Myśl o tym była podniecająca, ale też uzależniająca. Czasem zastanawiała się nawet, czy to mrok nie rządzi jej emocjami. Rozum nie miał tu najmniejszego słowa przebicia.

Pomieszczenie zaczynało się oczyszczać stając się na powrót puste i bezimienne. Tamara pocieszając i tuląc Sam uświadomiła sobie dopiero, co w rzeczywistości uczyniła. Nie ma już odwrotu. Postanowiła skrzywdzić najbliższą jej na świecie osobę. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, z tego, że to, co nazywała miłością, było w istocie żądzą posiadania. Nie pragnęła tak bardzo jego miłości, jak zniewolenia. Chciała mieć go na własność. Była zła i nikczemna. Zepsuta do szpiku kości. Emocje zupełnie ją zawładnęły. Oślepiły. Jak mogła mu to zrobić? Jak mogła go tak skrzywdzić? Ugryzła rękę, która ją karmiła. Zwróciła się przeciwko temu, który nauczył ją tak dużo o samej sobie. To on ją odkrył, gdy nie umiała radzić sobie ze swą innością i zdolnościami. Pomógł jej przejść przez to. Nauczył jak kontroluje się moc i wykorzystuje do własnych celów. Na pewno nigdy nie podejrzewał, że wykorzysta to przeciw niemu.

Nigdy już nie zazna spokoju z przebywania w jego towarzystwie, ani nie złączy się ze swym wybrankiem. On nie będzie nigdy już na nią patrzył jak na kobietę. Ale czy to, że została odrzucona i cierpiała niczym rzucona w Styks, upoważniało ją do skrzywdzenia tego cudownego i wyjątkowego stworzenia, które było jej całym światem i nic złego w zasadzie jej nie uczyniło? Nie pragnął jej skrzywdzić. Nie zrobił tego celowo. To nie była jego wina. To nie była niczyja wina. Jej pustka stała się jeszcze większa niż dotychczas. Nienawidziła samej siebie za to, co uczyniła. Znowu posmutniała.

- Muszę już iść. – Rzuciła szorstko do leniwie rozciągniętej wokół jej nóg Samary.

- Dlaczego? – Zaniepokoiła się. – Chcesz mnie teraz zostawić? – Spytała z rozszerzonymi do granic możliwości powiekami.

- Co za różnica? Przecież nie będę tu spała.

- Ale teraz? Po tym co się między nami stało? – Nie mogła uwierzyć.

- A co takiego się stało? – Spytała lekceważąco.

- Dla mnie to było niezwykle, mistyczne, eteryczne doznanie. Nigdy czegoś takiego nie czułam. To było takie inne, wyjątkowe, takie piękne, nieskazitelne, nieco dziwne, ale takie cudowne!

Tamara uśmiechnęła się tak, jak uśmiecha się do dziecka, gdy te cieszy się z czegoś zupełnie prozaicznego.

- Zdaje ci się. To był tylko seks. Owszem, był niezwykle i cudowny, a ty jesteś piękna, taka słodka i niewinna, ale to nie ja cię tak pociągam, ale moc, która przeze mnie przepływała. Moc kusi. Zniewala. – Wyjaśniła gładząc jej włosy, po czym odsunęła kobietę od siebie i wstała szukając swych ubrań rozrzuconych po podłodze. Było już zupełnie ciemno.

- Nie prawda. – Zdecydowanie zaprzeczyła Samara. Jej oczy błyszczały coraz większym smutkiem. – Jesteś dla mnie ważna. Kocham cię. – Rzuciła wreszcie, co wcale nie spodobało się Tamarze.

Tamara nie chciała jej skrzywdzić, ale też nie miała zamiaru bawić się w jakieś wyznania. Nie patrzyła na Sam w ten sposób. Jeśli chodzi o prawdziwą miłość, to Samara była dla niej nikim. Mogły być przyjaciółkami, mogły być kochankami. Mogła nawet w jakiś sposób kochać ją i zależeć na Sam, ale nie była w stanie kochać jej tak, jak kocha się druga połówkę.

- Muszę już iść. – Odparła sucho. – Porozmawiamy o tym innym razem. – Rzuciła przytulając ją na pożegnanie, bo nic innego nie mogła zrobić.

Może nawet nie tyle nie mogła, co nie chciała. Każdy inny gest, czy słowo, byłoby już przesadą. Po co miała dawać jej jakieś złudne nadzieje? Nie chciała jej skrzywdzić. To była tylko symbioza. Obie dostały, czego pragnęły, ale na tym koniec.

- Tamara, kiedy się spotkamy? – Spytała z niepokojem odprowadzając ją niechętnie do drzwi wyjściowych.

- Nie wiem. Zdzwonimy się kiedyś. – Odparła stanowczo, po czym wyszła.

Nie chciała już przebywać w towarzystwie Sam. Dziewczyna była cudowna, ale i strasznie męcząca. Zbyt dużo od niej oczekiwała. Stała się nachalna. Przytłaczająca. Musiała od niej odpocząć. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła na twarzy chłodne, wieczorne powietrze podświetlone blaskiem ulicznych latarni. Przeszła kilka metrów wychodząc z za budynku, po czym ruszyła chodnikiem w stronę jezdni.

Jej myśli krążyły na przemian między Sam, a jej mrocznym ukochanym, którego postanowiła ukarać. Ale w zasadzie za co była ta kara? Za to, że nie kochał jej tak bardzo jak ona jego? Czy można kogoś przymusić do uczucia? Przecież to nie była jego wina. Emocji się nie kontroluje. Albo się kogoś kocha, albo nie. Był taki czas, że była mu całym światem. Podziwiał ją i wpatrywał jak w obraz. Czczył ją. Lecz jej wciąż było mało.

Znów pomyślała o Sam. Zastanawiała się, czy nie zrobiła jej przykrości. Ale Sam to nie mała dziewczynka. Zrozumie. W głębi serca miała jednak świadomość, że potraktowała ją zupełnie tak samo, jak ona została potraktowana przez niego.

- Tamara! – Usłyszała z za pleców damski głos należący do Sam, gdy zbliżała się do przejścia.

Wkroczyła już na jezdnię. Piskliwy krzyk Samary zagłuszył ciszę i rozbrzmiał w niej. Tamara stanęła i odwróciła się w tył. Samara wyglądała z okna domu znajdującego się przy rogu ulicy. Ledwo zdążyła spojrzeć w jej kierunku i mgliście dostrzec postać wychyniętą z za okna, gdy usłyszała pisk opon samochodu.

Znów spojrzała przed siebie. Ledwie kątem oka uchwyciła fragment karoserii. Opływowy kształt. Dynamiczny. Bezgłośnie pojawił się niczym zmaterializowany wprost przed nią. Był zbyt szybki, by mogła go dostrzec. Kierowca prując drogę nie widział jej zza zakrętu. Jedynie Samara mogła go dojrzeć z miejsca, w którym była.

Wszystko działo się w ułamkach sekundy. Tamara poczuła jak wzbija się w powietrze. Następnie dopiero usłyszała huk spowodowany uderzeniem jej własnego ciała o auto. Odbiła się od maski. Świat zawirował. Lecąc czuła tylko pęd i ruch. Nie wiedziała gdzie znajduje się dół a gdzie góra. Świadomość odpłynęła. Dopiero gdy z impetem znów znalazła się na ziemi z twarzą skierowaną ku gwiazdom, poczuła realny i rzeczywisty ból rozrywający jej ciało.

- Tamara! – Słyszała lament przyjaciółki biegnącej już ku niej i rytmiczne uderzenia czerwonych szpilek o chodnik. Auta już dawno nie było. Śmignęło dalej zostawiając ją na jezdni powyginaną od bólu i licznych złamań. Wiedziała, że umiera.

Ale nie cierpiała. Wreszcie zrozumiała, że to ona była jego prawdziwą i wieczną miłością. Nie miał nikogo. Wciąż kochał tylko ją. Chciała by, to co kochał najbardziej zostało zniszczone i zabite. W rezultacie, nieświadoma tego, że to ona mimo wszystko i nadal, jest dla niego najważniejsza, rzuciła czar na samą siebie. Moc zwróciła się ku niej. Mogli być jeszcze razem szczęśliwi. Mogli być szczęśliwi. Ale nie będą. Nie w tym życiu. Zabrała mu siebie sprawiając, by poczuł się jak martwy za życia. Udało jej się. Odebrała mu to, co kochał najbardziej. Zemściła się. Odebrała mu siebie. Ale czy było warto?

- Tamara! – Otworzyła oczy by ostatni raz spojrzeć na klękającą przed nią postacią.

- On mnie kochał. – Odparła ledwo słyszalnym szmerem. - To ja nie umiałam kochać. Zniszczyłam wszystko. Nie chciałam jego miłości. Wciąż było mi mało. Chciałam mieć go na własność. Chciałam go uzależnić. Zniewolić. Czasem nie warto jest kochać zbyt mocno. Zbyt intensywnie. Zbyt zaborczo. – Wszeptała krwawymi ustami po czym zamknęła oczy.

Abaddon

Słońce rozpromieniało tafłę jeziora otaczając Świtez blaskiem światła opływającego drzewa, krzewy i cały świat wokół skąpany tym soczystym, nieskazitelnym urokiem brzasku. Dzień budził się do życia. Krajobraz nieskażony ludzką ręką. Pradawne piękno. Harmonia unosząca się na skrzydłach wiatru grającego szumne melodie kojące zmysły i unoszące maleńkie listki wokół postaci zaklętych w owej, niesamowitej scenerii.

Ona siedziała na kamieniu z oczami spuszczoneymi w głąbię wody. Jej długie jasne włosy szarpane wichrem, dodawały uroku promiennej twarzy i delikatnej filigranowej sylwetce w białej, zwiewnej sukni. Niemal zlewała się z naturą będąc jej częścią. Wyglądała, jakby siedziała tu od zawsze. Jedynie świat się zmienił.

On przyglądał się tej zamyślonej, smutnej ruszałce, która dotykała jego serca sprawiając na nowo, że puste i bezbarwne życie nabierało sensu. Mógłby tak wpatrywać się w nią całą wieczność. Była piękna, ale nie to sprawiało, że jego serce tak nagle zabiło. Jej niedostępność i smutek sprawiały, że chciał się nią opiekować. Otaczała się przedziwną aurą. Bała się wpuścić kogokolwiek pod swą prywatną, niewidzialną kopułę samotności. Chciał zbić tę szklaną kulę sprowadzając ją na nowo do świata żywych. Chciał trwać przy swej wybrance. Świat na nowo wydawał się piękny.

- *Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona w wielkiego kształcie obwodu. Gęstą po bokach puszcza oczerniona, a gładka jak szyba lodu.* – Wydeklamował wciąż wpatrując się w swą zamyśloną panią i nadając chwili jeszcze bardziej poetycki czar mic kiewiczowskich czasów.

- *Gdy oko przeciwnych brzegów nie dosięga, dna nie odróżnisz od szczytu. Zdajesz się wisieć w środku niebokrega. W jakiejś otchłani błękitu.* – Odpowiedziała wierszem, lecz jej słowa były zimne i chłodne niczym poranny wiatr. Znajdowała się w nich jakaś głębia. Ukryte dno, którego nie był w stanie dojrzeć. Ona również zdawała się wisieć między ziemią a nieboskłonem wysuwając swe myśli w nieogarniętą toń przestworzy. Odwróciła twarz ku niemu, a jej błękitne oczy wydawały się błyszczeć lodem. – Prawda jest brutalna. – Ciągnęła stanowczym głosem pozbawionym emocji. – Wiążąc się ze mną stałbyś się jedynie moim króliczkiem. Zabawką.

Marionetką. Me serce nigdy nie pokocha człowieka. Przynależę już do kogoś. Jestem skażona. Uwięziona pomiędzy światami. Pomiedzy blaskiem, a cieniem, materialnością, a duchowością.

Spojrzał na nią z żalem ściskającym jego serce. Była dziwna i ekscentryczna, ale też przyciągała go do siebie. Mimo odpychającego chłodu, którym emanowała i mimo słów przesiąkniętych jadem, czuł, że pragnęła, by trwał przy niej. By zaopiekował się tą niewinną, delikatną i nieco zagubioną postacią, która ze smutkiem wpatrywała się w toń.

- Ty jedna potrafisz sprawić, że na nowo zaczynam żyć. – Wyznał otwierając przed nią swe serce tak mocno, jak ona próbowała zacisnąć swoje. - Jesteś moim aniołem. Wierzę, że niebiosy mi cię zesłały. Nigdy nie poznałem kogoś tak nieskazitelnego i niezwykłego jak ty. Sprawiasz, że nie mogę wyrzucić cię ze swego umysłu. Nadajesz koloryt memu istnieniu. Znów chcę żyć. Widzę jakiś sens. Światelko w ciemności. – Dodał pełnym nadziei głosu.

Nadzieja. Tak. To ona zawsze umiera ostatnia. Tylko ona mu pozostała. Jego życie dawno legło w gruzach i ogniu zniszczenia, który pochłonął wszystko to, co kochał. Został sam ze swym bólem i smutkiem. Ludzie odeszli. Lata temu. Zapalił świece na ich mogiłach. Mówią, że czas leczył rany. Lecz nawet czas nie był w stanie usunąć z jego myśli żalu i straty. Ale oto na nowo mógł kogoś po kochać. Zacząć od nowa. Mimo piętna, które odcisnęła na nim tragiczna przeszłość.

- Ja, która zwróciłam się ku ciemności i żyję w szarościach, nadaję kolorów? – Spojrzała na niego z nieskrywanym rozbawieniem. - Z każdym dniem coraz mocniej staczam się w dym Szaolu. Zdaje ci się. – Rzuciła kpiąco z lekka nutą sarkazmu, który wychwycił w jej głosie. - Nigdy nie ukoję twego smutku, a jedynie pogłębię niedosyt, którym cię zarażę. Łatwo przekroczyć granicę, ale ona zmienia i niszczy duszę. Nigdy nie będę twoim lekarstwem, a stać mogę się jedynie trucizną, która cię zniszczy. Jestem potworem.

Wiatr zakołysał topolami tańczącymi nad ich głowami. Nie był to już ten sam lekki taniec radości. Ton wichru również się zmienił, tak jak zmieniła się atmosfera spokoju i błogości. Na niebie pojawiły się ciemne chmury sunące z zachodu. Trawa zdawała się pociemnieć.

- *Powiem jednakże: nie straszycie wcale, żywa kobieta w niewodzie. Twarz miała jasną, usta jak korale, włos biały skąpany w wodzie.*
– Odparł na jej wyznanie. - Nie jesteś zła. Jesteś najcieplejszą i najdelikatniejszą osobą jaką znam. Masz w sobie tyle uroku, wdzięku, kobiecości i szlachetności. Jesteś wrażliwa i dobra. Jesteś moim aniołem. – Powtórzył raz jeszcze. - Upadłym aniołem, którego zesłało mi niebo, by ukoić mój żal i na nowo rozpromienić me serce.

- Mylisz się człowieku. – Odparła z zaciskającymi się wrogo wargami. - Nic o mnie nie wiesz. – Syknęła patrząc na niego spod czoła.
- Wcale nie jestem dobra. Upadły anioł? – Roześmiała się tak mrocznie, że poczuł jak przebiega po nim zimny dreszcz. - Może masz rację. Ale nie nawrócisz mnie. Nie myśl, że ci się uda. Jestem zła. Jestem demonem. Zdeprawowanym bytem. Nie aniołem. Przynoszę jedynie ból i zniszczenie. Trzydziesty marca. Pięćdziesiąt siedem ofiar. Nigdy nie zapomnę tej daty. – Mówiła patrząc zamyślonym wzrokiem, który przeszywał go do głębi. - Tego dnia na powrót stałam się przeklęta. Mam krew na dłoniach! – Ciągnęła drżącym głosem. - Stałam się skażona. Wypuściłam moc. Wagon, w którym siedziałam zagiął się niczym puszka sardynek zabierając ze sobą ludzkie istoty. To moja wina. Obiecałam sobie tego dnia, że więcej nie wypuszczę mocy, a jednak. To zbyt mocno uzależnia. Jestem przeklęta dla światła. Skłoniłam się ku ciemności. Przekroczyłam barierę. Moc uzależnia. Pochłania. Zabrała mi duszę.

- Sammael, to wszak imię upadłego anioła, którym jesteś. Zdradź mi swe prawdziwe imię. – Nie dał się zmrozić i odrzucić, tak jak zimny wiatr zaczął szarpać żywe liście i zrzucać je obok nich.

- Sammael. – Powtórzyła obcym głosem, który go przerażał. - To jest me prawdziwe imię. Ludzkiego nie musisz znać. Bardziej do mnie pasuje, niż te nadane mi przez ludzi. Nie jestem już człowiekiem. Stałam się potworem. Od zawsze nim byłam.

- Sammael był aniołem poranka. Mówili na niego jutrzienka. Jak możesz być zła? Teraz czuję od ciebie jedynie smutek i żal, ale nie zło. Jesteś wrażliwa i delikatna. Widzę wszak, że nie do zła zostałaś stworzona.

- Nikt nie został stworzony do zła. – Odparła wpatrując się w Świtez. - Sami wybieramy swe przeznaczenie. A może nawet to ono wybiera nas. Twój Bóg ma oblicze świetliste, które jest tak jasne, że wystarczy jedno spojrzenie, by cię spopielić człowieku. Lecz, by rozmawiać z ludźmi stworzył też cieniastą powłokę. Swoje drugie ja. Cień stał się Słowem Boga. Słowo Boga stało się jego Głosem.

Wreszcie Głos sam w sobie przybrał postać istoty z wolną wolą. Nastąpiło rozerwanie. Tak powstał mój drugi Pan, któremu zawierzyłam. Był bardziej dostępny, bardziej prawdziwy. Bardziej ludzki.

- Znam zarys stworzony przez Orygenes z Aleksandrii. – Odparł zbywając jej argumenty niczym woda Świtezi obmywająca jej bosa stopy. - Bóg stworzył wszystkie anioły równymi i wolnymi. Jednak przez posiadanie wolnej woli część aniołów zaczęła oddalać się od Boga z własnego wyboru. Orygenes stwierdził, że anioły, które oddaliły się najmniej, pozostały w bezpośrednim otoczeniu Boga. Te, które oddaliły się bardziej, stały się zwykłymi Aniołami. Anioły, które oddaliły się jeszcze bardziej, stały się ludźmi, takimi jak ty, zaś te które oddaliły się najbardziej, stały się aniołami upadłymi lub demonami i tak utworzyło się piekło nazywane przez ciebie Szaolem. Ale istnieje dla ciebie nadzieja. – Dodał z wiarą przepelniającą ciepłe spojrzenie. - Wedle tej koncepcji udzie mogą stać się aniołami, a upadłe anioły i demony mogą odzyskać swój poprzedni anielski wygląd.

Uniosła się z kamienia i bosopodeszła do niego. Fałdy sukni rozwiewały się na wietrze. Podświetlone brzaskiem dodawały jej uroku sprawiając, iż przybrała wygląd emanującej światłością. Oczy jednak miała pochmurne i smutne. Spojrzała na niego nostalgicznie.

- Byłam aniołem. Wieki temu. Upadłam. Stałam się człowiekiem. Lecz teraz przeistaczam się w istotę piekielną. Nie wiem już kim jestem. Zaczynam coraz bardziej przypominać demona. Stałam się skażona. Dążę ku zagładzie i zniszczeniu. Nie jest mi z tym dobrze, a jednak taką drogę wybrałam. Tak jest łatwiej. Przyjemniej. Jestem bliżej ciemnej strony, którą zbyt bardzo miłuję, bym mogła od niej odejść.

W tym momencie wydała mu się tak smutna i bezbronna, że zapragnął wziąć ją w swe ramiona i tulić. Ale opamiętał się. Nie chciał jej spłoszyć, gdyż była ulotna jak wiatr. Nie dawał się poznać. Pragnęła do końca pozostać zagadką, której nikt nie może poznać. Niczym puszka Pandory. Nie chciała skalic go swą mroczną i skrytą naturą, której się obawiała.

- Bóg zesłał anioły na ziemię, by stały się obserwatorami. By wypełniły jego misję i polecenia. Lecz anioły odwróciły się od głosu Boga. Zaczęły kochać ludzi bardziej od niego przesiąkając tym samym do świata materii i tracąc swego prawdziwego ducha. Semyazza, Samael, Azazel. Uczynił was śmiertelnymi. Rozgniewał się. Lecz spójrz na to inaczej. Dostałaś szansę. Możesz odradzać

się na nowo. Możesz tu być. Trwać wśród ludzi. Jesteś człowiekiem. Możesz na powrót zwrócić się ku świetlistej stronie. Możesz odkupić swe winy.

- Winy? – Rzuciła z sarkazmem w głosie. – Zostałam wygnana za swój bunt i dumę. Za swoje zdanie. Za uczucia. Nie jestem niewolnikiem. Idę tam gdzie chcę. Sama odeszłam. Mrok mnie nie odrzucił. Twój Bóg tak. – Mówiła z goryczą w głosie. - Nie mam zamiaru się przed nim korzyć. Potrafi tylko karać. Dawno temu ten, który niósł świat, a nazwany został Gwiazdą Poranną, pokochał. Zapalał miłością do kobiety. Bóg ukarał go zsyłając do otchłani. Lecz Anioły Światłości zapłakały nad Lucyferem i Bóg pozwolił mu raz na sto lat schodzić na ziemię. Zakpił z niego, gdyż śmiertelna dawno już umarła. Tak też Lucyfer raz na sto lat błądzi po ziemi szukając tej jednej, którą umiłował i której oddał serce. Ja też tęsknię. Tęsknię za moim panem ciemności. Tęsknię za księciem czeluści, niszczycielem, władcą demonów, sługą Boga, a zarazem Aniołem Zła. Me serce, czarne jak noc, należy do Abaddona. Nigdy nie ukoję swej pustki i tęsknoty. Zawsze będzie niedosyt, bo Abaddon nie potrafi kochać. Więc nie łódź się, że ja potrafię pokochać człowieka, zapalać miłością do pyłu marnego. On zawsze będzie dla mnie pierwszym i ostatnim.

- W różnych nurtach imię Sammael i Lucyfer stosowane są naprzemiennie lub nawet utożsamiane. Powiedz mi, kim jesteś. Za kim tęsknisz najbardziej. Jesteś Lucyferem? Sammaelem? A może tą dziewczyną? A może tak naprawdę tęsknisz do Boga?

Gdy tak jej się przyglądał, dostrzegł jakieś podobieństwo z Lucyferem uznawanym w antropozoficznym ujęciu za brata Chrystusa, który to uwięziony między dobrem, a złem, czernią i bielą, stał się subiektywistyczną inspiracją dla buddyzmu i hinduizmu oraz orientalnych, tak jak ona, idei i koncepcji poprawy ziemskiego świata. Miała w sobie ową orientalność. Przeplatały się w niej nieuporządkowana miłość do ludzi i błędząca chęć czynienia dobra, lecz chęć ta była tak irracjonalna i dziecinna, że były od niej infantylne i niejasne motywy sprawiające, że nie potrafiła wybrać, ani też dążyć do swego przeznaczenia. Zawisła między światami. Wydawała mu się taka krucha i bezbronna, choć bił od niej blask i siła. Zarówno ta dobra i twórcza, jak i niszczycielskie, skryte oblicze mroku. Coraz mocniej pragnął wziąć w ramiona te biedne, zagubione dziecię, które nosiła w swym sercu.

- Chcesz znać prawdę? Dostąpić wiedzy egzoterycznej? – Spytała groźnie patrząc mu głęboko w oczy. - Prawdy nie ma. Są tylko jej strzępy. Rozerwane fragmenty układanki, której nie da się poskładać. Tak jak mojego serca.

- Z tego co mówisz, tęsknisz za kimś, komu wcale na tobie nie zależy. – Rzucił sucho, co wprawilo ją w zakłopotanie i gniew.
- Na swój sposób mnie kocha i zależy mu na mnie. – Odparła z łagodniejszym już spojrzeniem i pokorą płynącą w głosie. - Dlatego właśnie zesłał mi ciebie. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. - Zdaje ci się tylko, że jestem twoim lekarstwem, lecz w istocie mogę być tylko trucizną. Rzecz w tym, że jesteś jedynie kukielką. Marionetką. Dostałeś misję. Twoją misją jest czcić mnie i kochać, tak jak on nie potrafi. W ten chory sposób, chciał sprawić bym była szczęśliwa. W jakimś sensie zależy mu na mnie. – Powtórzyła, jakby pragnęła przekonać o tym nie tylko jego, ale i sama siebie.
- Nie rozumiem. Czemu więc mnie nie chcesz? Skoro sama mówisz, że zostałem tu ściągnięty specjalnie dla ciebie, to czemu mnie odrzucasz? Czemu nie pozwolisz się kochać? Zależy mi na tobie. Nie chcę cię skrzywdzić. Czemu wszystko komplikujesz?
- Pochwalasz niewolnictwo? – Spytała nie oczekując odpowiedzi, która wszak mimowolnie pojawiła się w wyrazie jego twarzy. - Jestem zła, ale nie zepsuta do końca. Mam jeszcze skrupuły. Dlatego chcę ci oszczędzić cierpienia. Dla mnie liczy się tylko on. On jest esencją zła i mego życia. Nie ma uczuć. A przynajmniej nie przybierają one takiej formy, jak znane ci uczucia ludzi. Tęsknie za nim. Brakuje mi go. Wiem, że nigdy nie będzie w stanie tak mnie kochać, jakbym tego chciała. Jest zbyt pragmatyczny. Nieludzki. Demoniczny. Ale taki już jego urok. – Wyznała cierpko. - Takiego go kocham. Jest prawdziwy. Taki mnie pociąga. Wolę być jego przynależnością, niż mieć miliony sług, bezwiednych króliczków i marionetek, które myślą, że zależy im na mnie, a w rezultacie, tylko grają rolę, jakie każe im odgrywać moc. Nie chce niewolnika. Wole już mojego Abbadona, który trzyma mnie na dystans i dozuje mi siebie, lecz wiem, że jestem dla niego kimś ważnym. To nie jego wina, że nie umie bardziej kochać. Ja kocham go takiego jakim jest ponad wszystko.
- To dla niego odsuwasz się od jasności i staczasz na dno ciemności, do otchłani piekieł? Jesteś aniołem. Jesteś dobra. Nie chcesz mnie skrzywdzić. Nie chcesz nikogo krzywdzić. Masz skrupuły. Czemu nie zawalczysz o swą duszę? – Wciąż ciągnął swe słowa powtarzając się i męcząc ją.
- Aż taka dobra nie jestem. Oddałam duszę, by być z nim.

- Ale i tak nie jesteś. – Zauważył znów ja drażniąc.
- Jestem. Tylko muszę trochę poczekać. On nie czuje tak jak ja. Męczę go nadmierną wylewnością. Musi mieć czas na odpoczynek. Zrozum, on jest istotą piekielną. Choć nie wiem po co ci to próbuję wyjaśnić, gdyż jest to wiedza egzoteryczna, której nigdy nie będziesz w stanie osiąść. – Stwierdziła z dumą i wyższością patrząc na niego z pogardą.
- Wcale cię nie kocha. Ja ciebie Kocham.
- Mylisz się. To nie miłość. To maskarada. Opętanie.
- Zwalcz o swą duszę. Mówisz, że mój Bóg jest najsilniejszy? Ma największą moc? Czemu więc zwróciłaś się przeciw niemu?
- Ze względu na wolną wolę. – Odparła krótko. Ile razy będę ci to samo powtarzać? – Gdy już ją miałam, nie mogłam być posłuszną.
- Ale Abaddonowi jesteś.
- Sama chciałam. Nie oczekiwał nic ode mnie. Chciałam stać się jego przynależnością. Wiedziałam co robię. Abaddon chociaż przyznaje się do tego, że jest złem. Twój Bóg uważa się za prawdę, nieskończoność i sprawiedliwość, lecz nie jest łaskawy. Zawiódł mnie. Nie mogę go już słuchać.
- Co takiego ci uczynił mój Bóg?
- Odrzucił nas wszystkich. Porzucił nas.
- Sama się od niego oddaliłaś.
- *I zrzucony został ogromny smok, wąż starodawny, zwany diabłem i szatanem, który zwodzi cały świat; zrzucony został na ziemię, zrzuceni też zostali z nim jego aniołowie.* – Odparła znanym mu cytatem. To mi uczynił. Teraz mam tylko mojego smoka, mego węża, diabła i szatana, któremu zawsze będę wierna. A ma wierność i miłość stały się tak żarliwe, że uczyniłam się jego przynależnością.

Należę tylko do niego. To się nie zmieni. Nie licz na to, że uda ci się mnie zbawić, wszak jesteś tylko popiołem dawno wygasłych gwiazd, którym znów staniesz się po śmierci.

- Ale możesz na powrót oddać się w ręce Boga, odejść od Szatana. *Przeto poddajcie się Bogu, przeciwstawcie się diabłu, a ucieknie od was.*

- Nie mogę. Nie chcę. – Mówiła cichym, zmęczonym już głosem. - To jest jak opętanie. Nie walcz o mą duszę, bo tylko stracisz swoją. Zbliżając się do mnie dotykasz mroku. To nie przypadek, że się spotkaliśmy. Nie jestem aniołem, lecz zniszczeniem. Patrz jaki jesteś poddany i uzależniony. Chcesz być moim niewolnikiem? Mogę cię tylko wykorzystać. Nic nie dostaniesz, a jedynie stracisz. Nie daj się zwieść. Nie jesteś teraz w pełni sobą. Energia cię kontroluje. Stałeś się jej poddany. To nie niebiosa zesłały mnie do ciebie, lecz mój przyjaciel Abaddon. To on obiecał dać mi na pocieszenie ludzką istotę. Człowieka, który będzie umiał mnie kochać, tak jak on nie umie. Człowieka, który będzie mógł dać mi to, czego on nie może. Ale nigdy żaden ludzki twór nie zastąpi mi jego. On jest moim panem i władcą. Tylko jego potrafię kochać. Wiesz czym jest piekło?

- Miejscem, w którym nie słyhać głosu Boga. – Odparł.

- On jest piekłem. Mój Abaddon. Kochając go nigdy nie będę kochana. On nie umie kochać. A jednak na swój sposób, nieludzki sposób, jestem dla niego ważna, choć bez duszy stanowią dla niego jedynie niewolnicę. Mimo to, tylko on się dla mnie liczy. To jest silniejsze ode mnie. Skradło mi duszę. Oddałam ją za niego. Ja po prostu nie chcę słyszeć głosu Boga. Nie umiem już z nim rozmawiać. Ale ty nadal słyszysz. On jeden może być twoją siłą. On ma potężną moc. Módl się i za mnie, bo ja nie jestem w stanie. On ma siłę potężniejszą niż mój Abaddon. Do niego wznoszę swe błagania i zew rozpacz. Nie do mnie. Ja nie jestem w stanie ci pomóc. W moim skażonym mrokiem i krwią ludzi sercu nie mam miejsca na istoty takie jak ty. Ja już nie mam uczuć. Czuję jedynie pustkę. Uważasz, że jestem zesłanym ci aniołem?

- Zgodnie z wierzeniami chrześcijańskimi upadłe anioły krążą po ziemi aż do dnia Sądu Ostatecznego. Wtedy zostają zesłane do piekła. Nie chcę byś tam trafiła.

- Ja już jestem w piekle. Piekło to ja. Piekło to mój umiłowany pan.

- *Piąty anioł zatrąbił: i ujrzałem gwiazdę, która spadła z nieba na ziemię, i dano jej klucz od studni Przepaści.*

- Nie jestem twoją gwiazdą. – Syknęła w złości. - A przynajmniej nie taką, na jaką czekasz. *Gwiazda otworzyła studnię Przepaści, a dym się uniół ze studni jak dym z wielkiego pieca, i od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze. A z dymu wyszła na ziemię szarańcza, której dano moc, jaką mają ziemskie skorpiony. A szarańcza tak wyglądała: podobna do koni w szyku bojowym, na głowach jakby wieńce podobne do złotych, oblicza ich były jakby twarze ludzkie, i miały włosy jakby włosy kobiece, a zęby ich były jak zęby lwów. I mają ogony podobne do skorpionowych oraz żądła, a swymi ogonami mogą szkodzić ludziom. Mają nad sobą króla - anioła Przepaści. Imię jego po hebrajsku brzmi ABADDON. Tym właśnie jestem. Zagładą. Kochanką Szatana. Anioła zagłady. Niszczyciela. Anioła przepaści, który wyłania się z otchłani jako księżę czeluści piekielnych. Władca Szeolu. Tam jest me miejsce. Na dnie piekła.*

- Mam więc rozumieć, że to nie Bóg mi cię zesłał, byś wypełniła mą pustkę i żal, lecz szatan, bym stał się twą zabawką? – Spytał podniecony od dławiących uczuć i obaw, które w nim zasiała.

Roześmiała się. Wreszcie zaczynał rozumieć to, co od dawna próbowała mu wyjaśnić. Zdawał się być taki oporny.

- Może ci się zdawać, że zależy ci na mnie. Lecz to moc cię sprowadziła. Czarna materia. Byś stał się moją kukielką. Marionetką. Pocieszanką. – Wymieniała z diabelskim uśmiechem na twarzy.

Czuła, że przyjmując niewolnika ofiarowanego przez Abaddona stawała się mu coraz mocniej podobna. Skłoniła się ku ciemności wyzbywając skrupułów i emocji by traktować ludzki byt w sposób przedmiotowy i wykorzystując go, wszak zdawała sobie sprawę, że wyrzuci go, gdy się znudzi i przestanie być potrzebny dla zapełnienia pustki w znieczulonym, skażonym, czarnym sercu. Pozbędzie się go, gdy tylko jej pan skinie na nią palcem. Gdy ten, któremu oddała serce, zechce znów ją ujrzeć. Człowieka nie była w stanie pokochać. Był tylko marnością stworzoną z pyłu, podczas gdy ona powstała ze szlachetniejszych kruszców. Upadły anioł. Tak. Tym właśnie była. Odrzuci go w momencie, gdy na powrót będzie mogła złączyć się ze swym panem. Był tylko dla pocieszenia jej w

momencie rozłąki. Był niczym prezent ofiarowany przez kochanka. Zwierzątko, które ma wypełnić chwilową pustkę i tęsknotę. Szatan nie potrafił jej kochać w ludzki sposób, gdyż był bestią. Wiedział jednak, że ludzkiej miłości potrzebowała. Dał jej więc to czego pragnęła. Sprawił, by dostała to czego chciała.

- Nie wierzę. – Odparł zatroskany. - Czemu tak ciężko ci to zrozumieć, że nikt mną nie kieruje? Że po prostu cię lubię? Że naprawdę mi na tobie zależy?

- Mam na rękach krew! – Parsknęła złowrogo próbując go odrzucić. - Jestem zła. Jak można kochać kogoś takiego? Zastanów się. Dostałeś misję, którą teraz wypełniasz. Twą misją było mnie wielbić.

- A może to Bóg mnie wysłał, a nie Szatan, bym wyrwał cię z mroku? Zanim cię nie poznałem, moje życie było szare, a ja sam nieszczęśliwy. Z pożarze zginęli wszyscy, których kochałem. Zostałem sam, a mój żal i samotność stały się zupełne. Teraz na powrót pojawiła się nadzieja, szansa. Mam o kogo dbać, mam się kim opiekować. Nie tylko ty potrzebujesz miłości. Ja też jej łaknę. Nie ma w tym nic złego, że tu jesteś. Że jesteś dla mnie, a ja dla ciebie. Mogę ci pomóc. Ukoić żal. Wypełnić smutek, tak jak ty koisz mój będąc przy mnie.

- Nie rozumiesz, że to tylko wpływ mocy, a nie twoje prawdziwe myśli? – Wciąż oponowała. - Jesteś teraz bezwolny. Opętany. Myślisz, że możesz zawalczyć o mą duszę? Pomóc mi? Gdybym, mimo twego opętania, zgodziła się być z tobą, przyjąłabym dar, zgodziłabym się na wykorzystanie niewolnika, którego zesłał mi mój pan piekiel. Ma dusza stanie się jeszcze czarniejsza.

Zaśmiała się gorzko dławiąc łzy. Nie takiego daru oczekiwała od Abaddona. Nie na to liczyła. Wiedziała jednak dobrze, co jej pan miał na myśli mówiąc, że kocha ją „na swój sposób”. Dziwny to, pragmatyczny i nieludzki sposób okazywania miłości poprzez ofiarowanie serca człowieka, lecz jeśli w ten sposób okazywał jej swą opiekę, troskę, zaangażowanie i miłość, bo inaczej nie umiał, to na powrót zapragnęła stać się przynależnością swego Szatana. Pragnęła by naznaczył ją na nowo. Chciała być jego na wieki. Trwać przy nim zarówno w chwilach, gdy będą razem, jak i tych, gdy kazał jej czekać w dali. Wiedzieć, że mimo odległości, zawsze będą do siebie wracać i trwać z sobą. Osobno, a jednak spleceni na zawsze i tylko sobie przynależni...

- Zaufaj mi. Przestań się już bać. Nie odrzucaj mnie. Chcę być z tobą. Bez względu na wszystko. Nawet jeśli to tylko czary, to właśnie teraz chyba potrzebuję takiego zatracenia, żeby nie myśleć o przeszłości. Ufam mojemu Bogowi. Wierze, że postawił cię na mej drodze, bym zawalczył o twą duszę, jeśli w tobie nie ma odpowiedniej siły i wiary, byś sama to uczyniła.

- Wiem, że przyjmując od niego dar w postaci człowieka, stanę się jeszcze gorzej zła niż jestem. – Wyszeptała zmęczona rozmową krążąc myślami wokół swego pana ciemności. - Lepiej dla ciebie i dla mej duszy byłoby gdybym cię teraz zostawiła i ubłagała Abbadona, by zdjął z ciebie czar. Gdybym odrzuciła jego dar. – Wycodziła po czym zamilkła ze wzrokiem smutno spuszczone w dal. Po chwili jednak znów spojrzała na mężczyznę lustrując go bacznie. Był całkiem przystojny. Delikatny. W pewnym sensie nawet ciekawy, choć nie tak bardzo, by mogła kiedyś obdarzyć go uczuciem. – Ale jeśli tak ci na tym zależy, to chodź. Myślisz, że jesteś Davidem, co pokona Goliata? Stoczymy się razem. Oddalimy jeszcze mocniej od jasności. Stracisz swego Boga. Jeśli chcesz być skuszony, chodź do mnie. Chodź i nie miej żalu, gdy kiedyś będziesz cierpiał z mojego powodu. To nie skończy się dobrze. – Wyszeptała wyciągając ku niemu wachlarz ramion.

Słońce znów wyszło zza chmur, lecz jej twarz pozbawiona emocji, pociemniała. Jedna, jedyna, mała łza stoczyła się po policzku upadając na ziemię okraszona soczyście zieloną trawą, gdy tuliła się mocno w ramionach swojego człowieka. *A którzy czekali błyskawic i gromów są zawiedzeni. A którzy czekali znaków i archanielskich trąb nie wierzą, że staje się już. Dopóki słońce i księżyc są w górze, dopóki trzmiel nawiedza różę, dopóki dzieci różowe się rodzą, nikt nie wierzy, że staje się już.*

(Do napisania opowiadania wykorzystano fragmenty ballady A. Mickiewicza pt. „Świtez” ; fragment wiersza Cz. Miłosza pt. „Piosenka o końcu świata” ; cytaty z Biblii Warszawskiej oraz Biblii Poznańskiej)

Dodatek:

„Wspomnienie Umarlej”, rozdział dziesiąty (fragment):

Smok w swym ludzkim ciele z nostalgicznym spojrzeniem przypatrywał się lśniącemu krążkowi na niebie przez okno wiszące w betonie na rozpadającej się futrynie. Oko nocy swym łaskawym blaskiem spływało na sen dziecka śpiewając swe pradawne pieśni zapomnienia. Bładość jego światła ukazywała mgliste zarysy rzeczy bazując na podświadomości i fantazji, dualizmie świata materii i duchowości.

Był sam, choć coraz mocniej wyczuwał czyjaś aurę. Nie czuł się samotny. Po pierwsze dla tego, że wpatrywał się w blask Limbusu Księżyca, krainy, w której mieścił się stracony czas, daremne łzy, nie spełnione pragnienia, bezowocne próby i wszystko to, co zostało zmarnowane tu, na ziemi. Po drugie, ktoś zbliżał się do niego.

To nie było żadne z bliskich jego sercu, martwych stworzeń i zapomnianych braci. Aura bytu była zbyt materialna. Czuł ciało. Fizyczność. Nie był to też pusty ludzki twór. To była ona...

- Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą wychodzi blady pierścionek Dyjanny. – Powiedział w głos do bezszelestnej postaci zbliżającej się ku niemu. - O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą, jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą. – Wyrecytował wciąż wpatrując się w blask za oknem.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – Usłyszał delikatny kobiecy głos za plecami.

Obrócił się spoglądając w ciemną przestrzeń przed sobą. Z cieniu wyłoniła się rudowłosa kobieta patrząc na niego przychylnym blaskiem błękitnych płomyków. Była zdziwiona. Myślała pewnie, że uda jej się go zaskoczyć. Nie spodziewała się, że mimo cichego zachowania, wyczuje jej obecność.

- Nie wiedziałem, że przyjdiesz, ale cieszę się, że jesteś. – Odparł znów stając do niej plecami i wpatrując się w gwieździste niebo. – Czemu wróciłaś?

Mercedes nie odpowiedziała od razu. Przeszła przez mroczne pomieszczenie stając obok niego. Księżyc rzucał na nich kobaltowy blask, w którym tonęli oboje. Przez chwilę w milczeniu spoglądali w dal. Wyglądali jak woskowe figury zastygłe w czasoprzestrzeni. Przez tą krótką chwilę patrzyli nie osobno, lecz razem i w jednym kierunku.

- Nie wiem. – Odparła odwracając spojrzenie od hipnotycznego tworu na niebie i przyglądając się bladej twarzy zapatrzonego w przestrzeń mężczyzny.

Gdy spoglądał przed siebie, wyobcowany ze świata z betonu, wyjęty spod publicznej kontroli i społecznego życia, wydawał się być taki spokojny i opanowany. Księżyc był dla niego lepszym i ciekawszym rozmówcą niż głośny, ludzki świat, przed którym tak uciekał.

W tej nostalgicznej chwili znikł cały ból i gniew z tej delikatnej twarzy, która jeszcze niedawno tak bardzo ją przerażała. Nie widziała już mrocznych rys na jego licach, a jedynie harmonię i relaks z połączenia, jakie czerpał z promieni księżyca oplatających go i dodających mu romantycznego wyrazu.

- Ładny ten księżyc. – Rzuciła wciąż mu się przypatrując.

Nie odpowiedział. Skinął lekko głową. Wydawał się nie zwracać na nią uwagi. Zupełnie jakby słuchanie ciszy stanowiło dla niego najlepszy rodzaj odurzenia. Jego stan wydał jej się czymś na wzór medytacji.

- Za ostro zareagowałam. – Rzuciła wreszcie kładąc mu dłoń na ramieniu.

Słowa z ciężkością przeszły jej przez gardło. Nie lubiła przyznawać się do porażek, ani do tego, że nie ma racji. Żałowała jednak swoich ostrych słów. Zaprażyła nawiązać z nim kontakt, spróbować go poznać i zrozumieć, zintegrować się z nim. Był trochę taki, jak ona kiedyś.

- Nic się nie stało. Specjalnie wyprowadziłem cię z równowagi. – Odparł stonowanym i spokojnym głosem przesiąkniętym chromowaną barwą dodającą mu męskości i dotykając dłonią jej nadgarstka przytrzymał go przy swym ramieniu. Wciąż jednak nie patrzył w jej stronę. – Ja też wielu rzeczy żałuję. – Rzucił półszepem. – Niepotrzebnie ci o tym wszystkim powiedziałem. To było oczywiste, że nie potrafisz jeszcze zrozumieć mych słów. Nie byłaś na to gotowa. Zrozumiałaś je na opak. Przestraszyłem cię. Nie chcę byś się mnie bała. – Rzucił odrywając spojrzenie od bladego krążka i lustrując jej twarz delikatnym i czułym spojrzeniem.

Przeszła ją mroczna fala chłodu, który rozkosznie wypełnił jej ciało emanując wewnętrznym blaskiem. Spojrzenie zdawało się przenikać ją niczym nóż masło. Uśmiechnęła się w duchu.

- Promieniujesz blaskiem Czarnego Diamentu. – Wyszeptał wciąż świdrując ją swymi orzechowymi oczami, w których przeglądał się księżyc wkładając w nie swe płomienne iskry.

Uznała to za komplement, a na jej twarzy mimowolnie pojawił się delikatny, pełny uśmiech. Usta się zaokrągliły, a w ich kącikach pojawiły się urocze dołeczki. Przyglądał się jej z ciekawością przesiąkniętą tajemniczą nutą dekadencji i czaru.

- Robi się późno. Powinniśmy wracać. – Rzekła sucho odwracając spojrzenie i czerwieniąc się w mroku nocy.

- Pada na nas kobaltowy blask. Gubi się w naszych spojrzeniach. Chcesz odrzucić tę piękną noc na rzecz powrotu do hałaśliwego gwaru ludzkiej osady? – Spytał półszepem wciąż nie odrywając od niej przenikającego spojrzenia.

- Będziemy więc całą noc gapić się na księżyc? – Spytała z kpiącą miną, lecz pod tą zewnętrzną skorupą, która zdawała się być zimna i obojętna, kryła się tęsknota.

Tęskniła za harmonią i byciem częścią cudu. Ilekroć wstawała o świcie i biegła ulicami miasta, by znaleźć się wśród zieleni parku, gdzie ptaki siedzące na gałęziach drzew budziły swymi śpiewami cichy i bezdźwięczny świat, a ona czuła na sobie pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Była wówczas częścią cudu dokonującego się na jej oczach. Częścią aktu tworzenia, gdy zimny zmierzch przemieniał się w emanujący ciepłem, brzask. Czuła się dzieckiem Drzewa, cokolwiek to nie oznaczało.

Oczarowana jego słowami rozumiała czemu tak stroni od ludzi. Ta jego dzikość i wyobcowanie, nie były czymś, co robiło z niego dzikusa. Wręcz przeciwnie. Celowo się odsuwał, bo ludzie w większości nie potrafili docenić tego czaru i magii jaką mogła być pszczoła na kwiecie, wiatr szarpiący włosy, czy też blask księżyca. Poczwała to.

Zrozumiała jego niechęć do hałaśliwego społeczeństwa, przesiąkniętego smrodem i śmieciami miasta. Wmówiła sobie, że to co mówił o topieniu ludzi w kałuży krwi, było jedynie metaforą. Miał piękną, romantyczną duszę. Nie był przesiąknięty złem. Nie mógł być. Kochał przyrodę. Był lekko zagubiony w tym świecie ludzi i elektroniki, co pewnie go trochę przytłaczało. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie miał nikogo, kto by go poprowadził.

- Nie musimy. Zapraszam cię na spacer brzegiem morza. Co o tym myślisz? Wsłuchamy się w szum fal i zapomnimy o skażonym, – nie dodał już, że ludzką ręką, o czym jedynie pomyślał - niegdyś pięknym świecie. Poczujemy pradawny urok i siłę stworzenia. – Dodał chropowatym głosem.

W tym momencie wydał jej się tak bliski, jak nikt inny. Ciągnęła ją do niego jakaś nieokreślona, lecz mocna i nieokiełznana siła. Opętało ją dziwne doznanie, jakby ta chwila nie trwała pierwszy raz, jakby już kiedyś patrzyła w jego oczy.

- Wierzysz w reinkarnację? – Spytała pod wpływem impulsu.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa na głos, wydały jej się śmieszne. Dała się ponieść urokowi chwili. Pytanie było głupie i żalosne, jak sama stwierdziła.

- Gdybym nie wierzył, nie było by mnie tutaj. – Odparł szybko z promienną miną.

Jego oczy w ułamku chwili przestały na nią spoglądać z nostalgicznym sentymentem, a ich blask zmienił się w głód oczekiwania eksplodującego blaskiem pokładu emocjonalnego, który je rozrywał. Zabłyśły jak oczy poszukiwacza złota na widok promieniującej sztaby.

- Tak tylko spytałam. Nie wiem dlaczego. – Wybąknęła, po czym zamilkła.

Uśmiechnęła się do niego w ciszy. Poczul się zawiedziony, a jego oczy przestały błyszczeć z podniecenia. Już myślał, że zrozumiała, że przypomniało jej się. Nadal jednak nie wiedziała kim była, ani jakim uczuciem go darzyła. Nadal darzy, choć jeszcze nie jest tego świadoma. Gdyby było inaczej, nie wróciłaby.

- Coś się stało? – Spytała na widok jego zawiedzionej miny. – Powiedziałam coś nie tak?

- Nie. – Odparł cicho i beznamiętnie. – Wszystko jest w porządku. A teraz chodź. – Rzucił władczo odrywając jej dłoń od swego ramienia, ale tylko po to, by poprowadzić ją za sobą wciąż trzymając za rękę.

Choć, miała awersję, co do tego, by zbliżyć się do niego, na tak niebezpieczną odległość, nie zabrała dłoni. Ruszyła za nim pozwalając się prowadzić w ciemności. Pozwalając się porwać w przenikliwy chłód nocy. Jego dotyk sprawiał jej przyjemność. Wiedziała, że nie powinien, ale sprawiał.

W milczeniu pokonali leśne gęstwiny przesiąknięte cieniem, na które z góry padały jasne snopy promieniujących światełek. Gwiazdy oświetlały im drogę. Ilekroć las stawał się gęsty i nie mogli dojrzeć ścieżki, zerkali w przestworza, gdzie nad ich głowami

między czarnymi gałęziami drzew i mrokiem, pojawiały się emanujące jasnością fragmenty granatowego nieba, pod którymi spacerowali nie wypuszczając z objęć swych dłoni.

Pokrótkie czerń zaczęła przemieniać się w soczystą toń ultramaryny. Drzewa przed nimi rzedyły ukazując przestrzeń nad zboczem wszechogarniającej skarpy. Wiatr wdarł się w toń lasu. Przenikał drzewa niosąc swój delikatny, przesiąknięty morską bryzą, zapach, który rozkosznie pieścił zmysły i dodawał lekkości ich krokom odurzając chłodną rzeźkością.

Odkąd przyjechali, nie miała okazji by spojrzeć w nieokiełznaną dzikość morza, po którym teraz sunęły białe bałwany. Szum fal, które słyszała już na skraju lasu, wypełniał jej serce najczystszą formą miłości.

Teraz stała na skarpie wpatrując się w ten zapierający dech w piersiach obraz. Szum morskich gęstwino koł zmysły. Gwiazdy świeciły na niebie otaczając ich pradawnym wspomnieniem przeszłości.

***Opis powieści:** Trzydziestoletnia policjantka o imieniu Mercedes, pochodząca z domu dziecka, nie zna swej przeszłości, lecz od zawsze nawiedzają ją tak dziwne i rzeczywiste sny o odwiecznych czasach, że w swej samotności nie jest w stanie przestać tęsknić za wspomnieniami karmicznymi i wyimaginowanymi marzeniami sennymi. Po śmierci swego mistrza, sensey Mercedes przejmuje jego sekcję karate i wyjeżdża z młodymi uczniami na obóz, by tam uczyć ich sztuki walki i honoru samuraja. Rzeczywistość zaczyna jednak zmieniać się z dnia na dzień, gdy Mercedes zaprzyjaźnia się z aspołecznym chłopakiem o mrocznej osobowości, a na obozie dochodzi do serii dziwnych zdarzeń i wypadków... (Powieść napisana na bazie autorskiego opowiadania „Serce smoka”).*

„Klątwa Salem”, rozdział dwudziesty szósty (fragment):

Ziemia drżała pod ich stopami. Wycie lasu mieszało się z ledwo słyszalnymi jękami zmarłych, które to docierały jedynie do uszu kobiety. Przecinały je uderzenia grzmotów nadchodzącej burzy. Wiatr przenikał się z nawoływaniem pradawnych.

To nie był już ten sam las, do którego wstąpili. Budziły się w nim zapomniane głosy i energie, które kiedyś zamieszkiwały tę ziemię nazywaną Krainą Węgorza. Nawoływania przeszłości błędziły ścieżkami mroku. Wyglądały zza gęstwiny. Historia, która nigdy nie miała szczęśliwego zakończenia. Przeszłość mieszała się z teraźniejszością. Teraźniejszość wpływała na przeszłość. Zataczały się kregi.

Księżyc w zenicie świecił swym pradawnym blaskiem zapomnienia uśmiechając się do nich szyderczo. Czarne chmury przysłaniały niebo. Sączył się z nich piekielny ogień. Pioruny i błyskawice ganiały się między cieniami nocy. Drzewa kołysały uginane mocną siłą wichru. Gałęzie trzeszczały. Drewno pękało.

- Tędy! – Prowadził ją mężczyzna, który brał na siebie pierwsze uderzenia ostrych pędów drzew wijących się przed nimi w ciemnościach niczym żywe organizmy pragnące ich śmierci.

Dysząc z wysiłku spowodowanego maratonem dotarli wreszcie resztkami sił do porzuconego samotnie przed wjazdem do lasu samochodu. Paweł puszczając dłoń Nataszy doskoczył pierwszy do auta uruchamiając silnik. Kobieta nie zdążyła nawet zamknąć za sobą drzwi, gdy samochód z piskiem opon pomknął ku autostradzie.

- To coś nas goni? – Spytał nie odwracając wzroku od ścieżki którą podążali.

- Bardzo możliwe. Przybyliśmy tu za późno. Nie udało mi się zdobyć, tego, czego szukałam. Ale znalazłam to. – Stwierdziła myśląc o tajemniczej szkatułce strzeżonej przez potwora.

- Mam pamiętnik. Masz, czytaj. – Wyjął z kieszeni oprawiony skórą notatnik i rzucił jej na kolana.

- Już za późno. To jedynie poszlaki. Straciliśmy szansę. Nie udało mi się zdobyć szkatuły. Tam była odpowiedź. Coś się dzieje. Czuję to. Wątpię, żeby udało nam się to powstrzymać. – Odparła smutno wgapiając się w szybę.

- Co ty bredzisz?! - Rzucił spoglądając na nią. – O mój.... – Zamilkł nie mogąc oderwać od niej spojrzenia.

Dopiero teraz zobaczył jej zmienione oblicze. Wcześniej otaczała ich ciemność toteż nie mógł dojrzeć włosów srebrnych jak u staruszki, ani też bladej twarzy wyglądającej niczym pozbawiona krwi. To nie była ta sama Natasza, z którą tu przybył. Również jej oczy patrzyły na niego w inny sposób. Coś strasznego musiało ją tam spotkać. Nieludzki, niematerialny byt wywarł na niej swe okrutne piętno śmierci.

Lecz nie wygląd sprawił, że na chwilę zamarło w nim serce. Nim dotarli do wrót piekieł mieszczących się w drzwiach domostwa, zdał sobie sprawę, że Natasza ma dar. Teraz widział to znacznie bardziej. Jej oczy przemawiały do niego mistyczną mądrością i nieludzką siłą. Ona miała w sobie moc, którą latami odrzucała, lub też nie zdawała sobie sprawy z potencjału jaki w niej drzemał.

Opis powieści: 26-letnia Natasza przeżywa załamanie nerwowe po rozstaniu z mężem, który odchodzi do innej kobiety. Dziennikarka próbując otrząsnąć się z traumy i doprowadzić swoje życie do porządku, przez przypadek poznaje tajemniczego mężczyznę, który skrada jej serce. Wszechstronnie utalentowany grafik komputerowy niedawno wrócił z Salem. Natasza nie wie, że ciąży na nim klątwa. Początkowo zafascynowana ekscentrycznym artystą, a następnie przerażona splotem dziwnych wydarzeń i snów, które zaczynają wkradać się w jej życie, musi odnaleźć odpowiedź na pytanie jak przerwać klątwę. Na szali waży się życie jej córeczki...